



ew goz

WISŁA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok IV

Łódź, 5 stycznia 1947 r.

Nr 1 (80)

Jan Aleksander Król

MILKOWSZCZYNA*)

Część I

Książka Stanisława Miłkowskiego: „Agraryzm jako forma przebudowy ustroju społecznego” ukazała się przed 12-tu laty. Z poza czasów zamętu i wojny wystercza dziś, jak drogowskaz, który dość przeżył lat, aby umacniać w wierze o trafności wskazywanego kierunku.

A przecież książka ta nie jest jednolita i konsekwentna. Przeciwnie, zamącona do dna — czyni wrażenie tragicznego dokumentu szarpaniny duchowej pokolenia, które trafnie odczuło zbliżanie się przemowego momentu, miało jednak za mało wiedzy o siłach społecznych i obiektywnych warunkach historycznych i nazbyt było obciążone tradycją, aby odsłonić prawdziwe oblicze rzeczywistości społecznej i wykreślić realną i skuteczną drogę przebudowy.

Nie możemy patrzeć na książkę Miłkowskiego, jak na jego wyłączny produkt. Był on tylko sekretarzem, który zaprotokółował chaos dyskusji, szlachetnej w pobudkach i wywołanej na przemian „niezrozumienia bez porównania bardziej niż w wielu innych środowiskach.

Czas dziś ustawić czytelnika w pozycji rewidenta, który nie da się porwać emocjonalnie urzekającym chaosowi, a potrafi dojrzeć zbitkową strukturą ideologii agraryzmu, potrafi wyróżnić jej niespójne o rozmaitym rodowodzie elementy i błędy pokolenia międzywojennego sprostować i naprawić, co nie umniejsza zasług tych, którzy przed laty podjęli pionierską próbę.

MORALISTA PRÓBUJE ZATRZYMAĆ HISTORIĘ

Miłkowski reprezentował ten odłam ruchu młodo-wiejskiego, który miał ambicję nadać myśli ludowej rangę teorii „naukowo uzasadnionej”. Ale tak on, jak inni, sądzili, że wystarczy program „bardziej precyzyować” i „szczegółowiej formułować”, aby ideologia przyjęła kształt teorii.

Unaukowanie myśli ludowej w jego praktyce sprowadza się do wyspekulowania dla ideologii odpowiedniej teorii dziejów. Przy szczegółowszym i obfitszym formułowaniu programu udaje mu się zamienić typ zdania wartościującego: ja chcę tego a tego na typ zdania opisowego: rzeczy mają się tak i zdążają właśnie tam (gdzie ich oczekuje). Ale z tego powodu jego teoria dziejów wcale nie przestaje być narzędziem dla oczywistego fantazjowania ideologa. Nie przestaje być wielkim kazaniem moralisty.

I tak, krytykę kapitalizmu podejmuje w jednym wyłącznie aspekcie. Kapitalizm to — wyzysk, panowanie pieniądza, upośledzenie i nędza chłopów i robotników. „Chłop odrabia dzisiaj równie wielką pańszczyznę jak za czasów istnienia faktycznej pańszczyzny. Różnica polega tylko na tym, że bat nie wiszcze po jego barkach. Zmieniła się forma, ale treść i pozostała ta sama”. Jest oczywiste, że treść wieku XIX i XX-go, jaka odsłania się dla historyka, socjologa i ekonomisty pozostaje poza sferą jego zainteresowań i zobowiązań. Pojęcie niewolnictwa ważne jest dla niego w najbardziej ogólnikowym użyciu, ale dla kogóż ma wartość tak szerokie rozumienie niewolnictwa, przy którym znaczy ono to

samo w starożytności, co w feudalizmie i kapitalizmie? Napewno nie dla tych, którzy uprawiają naukę. Bo właśnie o treści i funkcji niewolnictwa w każdej z wymienionych epok rozstrzyga konkretny i swoisty wówczas układ społecznych stosunków produkcji. I podczas, kiedy poznanie i zrozumienie tych stosunków winno stać się podstawą dla wyprowadzenia poprawnych wniosków praktycznych, Miłkowski wyrzeka się tego obowiązku i tej naglącej potrzeby. W jego rozumieniu: „zmieniła się forma, ale treść pozostała ta sama”. Pocóż poznawać formę? Ale „wieczna” treść to nie wynik poznania naukowego a tylko dyletanckich obserwacji. W ten sposób można by wypisywać nie kończące się indeksy wątków: smutku, żalu, radości, spłania, jedzenia itd., które miały przecieć miejsce w każdej epoce, w każdym pokoleniu. Oto te same, „wieczne” treści.

Już przy krytyce kapitalizmu da się uchwycić tę wartość etyczną, jaka w luźnym sposobie wyrażenia Miłkowskiego jest jego założeniem.

Jest nią „wolność jednostki”. Kapitalizm dlatego jest zły, że odbiera wolność ekonomiczną. Z sympatią mówi Miłkowski o okresie liberalizmu. Panowała wówczas klasyczna wolna konkurencja, która „nie dopuszczała do wytworzenia się większych różnic w kształtowaniu się cen”, nie dopuszczała „do oddziaływania kierownictwa z zewnątrz”, państwo nie mieszało się do życia gospodarczego, jednostka była wolna i samodzielna.

Dramat zaczyna się dopiero w szczytowym okresie kapitalizmu. Miłkowski widzi w nim nie konsekwentny rozwój niezauważalnie przygotowanych w pierwszej fazie możliwości dla sił produkcyjnych i społecznych kapitalizmu, a nieoczekiwane przeciwieństwo, molocho pożerającego złote czasy drobnej produkcji i wymiany. „Kartele są pewnego rodzaju pasożytniczymi narostami na ciele ustroju liberalistycznego. Usuwając wolną konkurencję, wywołują... zmianę układu sił społeczno-gospodarczych. Fakt ten prowadzi do upośledzenia

i wyzysku warstwy chłopskiej i robotniczej przez przemysł”.

Kiedy moralista wgląda w historię, powtarza się scena z cieniami, którą jako pouczający przykład podawał kiedyś Sokrates. W tej opowieści występują żywi ludzie i ich cienie na ścianie grotty, cienie ogląda bohater opowieści i po nich sądzi o życiu. Rzeczywistością był liberalizm, był rozwój przemysłu i zmiany w układzie sił społecznych, ale Miłkowski założył sobie, że wystarczą mu cienie, jakie historia rzuci na ekran jego ideologii. Dlatego liberalizm w stosunku do monopolów to moralny okres, brak większych różnic w kształtowaniu się cen — dobrze się wówczas żyło, czemu tak nie żyć obecnie? Była wtedy drobna produkcja i drobna wymiana, dzisiaj jeszcze jest podobnie na naszej wsi. A więc jeśli zmieniły ten stan rzeczy: przemysł i nowy układ sił społecznych — wyciągaj te narośle! Ale nowy układ to nie tylko wąska liczebnie klasa kapitalistów. To przede wszystkim nowa i silniejsza klasa robotnicza — główny producent w cywilizacji przemysłowej. Miłkowski twierdzi jednak, że w tej cywilizacji „maszyna jest wszystkim a człowiek tylko dodatkiem”. Glinie dlatego wolność jednostki w stosunku do narzędzi i zadań jej pracy. A najważniejsza przeciwieństwo bliżej nieokreślona wolność. Gdyby zatem jej bronić, przeciw czemu również należałoby wystąpić? Przeciw cywilizacji przemysłowej, jej siedliskom — miastom oraz przeciw spadkobiercy tej cywilizacji — klasie robotniczej.

DLACZEGO PRZECIW KLASIE ROBOTNICZEJ?

I Miłkowski na wystąpienie to — decyduje się. Słusznie stwierdza, że „cała walka, która się dzisiaj rozgrywa o przyszłe formy ustrojowe świata, dokonuje się z jednej strony między broniącym się kapitalizmem, a atakującymi go z drugiej strony poszczególnymi kierunkami socjalistycznymi”. Jest to rzadki u niego blysk poznania, odsłaniający rzeczywistość historyczną, ale tylko na moment. Miłkowski bowiem nie czuje

się zobowiązany wobec rzeczywistości, którą dostrzega. A nie czuje się zobowiązany dlatego, że dostrzega ją poprzez cienie ideologii, jakie ona rzuca. Ideologiom innych klas można wszak przeciwstawić program własnej klasy. Stąd, wbrew temu, co sam przedtem stwierdził, wnioskuje, iż w walce o przyszłe formy ustrojowe światła wliczyć należy również „warstwę chłopską”, jako trzecią siłę.

I tu popełnia błąd podstawowy — teoretyczny i praktyczny. Teoretyczny polega na tym, że w imię trzeciej siły Miłkowski odrzuca i kapitalizm i socjalizm. Praktycznie — wchodzi w konflikt i z „oligarchią finansową” i z klasą robotniczą.

Czyni to w imię naczelnej zasady agraryzmu i wolności jednostki. Żeby ułatwić sobie zadanie ruch robotniczy poddąga pod ideologię komunizmu i rozprawia się z nią jak przystało na moralistę:

„Komunizm prowadzi do całkowitego zmechanizowania i zburokratyzowania życia społecznego i jego przejawach. W ustroju tym z natury rzeczy musi zniknąć wolność osobista jednostki, gdyż człowiek obwarowany ze wszystkich stron różnego rodzaju przepisami, wykonujący każdą, nawet drobną czynność według z góry ustalonej formułki, nie jest w stanie swobodnie się poruszać i musi zejść do roli bezmyślnej maszyny. A więc komunizm prowadzi do pozbawienia człowieka największego jego dobra, jakim jest wolność osobista”.

Nietrudno zauważyć, że Miłkowski bije w klasę robotniczą z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że reprezentuje ona inny system produkcji, niż warstwa chłopska — produkcji uprzemysłowionej. „W tym systemie maszyna jest wszystkim, a człowiek tylko dodatkiem... w produkcji rolnej występuje zjawisko odwrotne — człowiek odgrywa rolę decydującą — maszyna zaś pomocniczą”. Po drugie klasa robotnicza — w jego ocenie — sobie wyłącznie przypisuje „tego rodzaju wartości twórcze, w oparciu o które można będzie budować nowy, sprawiedliwy ustrój społeczno-gospodarczy”.

Czy jest więc do przyjęcia, aby ruch robotniczy narzucił „warstwie chłopskiej obce jej formy gospodarowania” i nowy ustrój powstał tylko „w oparciu o jedną warstwę społeczną”?

Zarzuty te słyszy się jeszcze i dzisiaj. Są one jednak źle postawione. Źle dlatego, iż wyrosły z moralistycznej, dyletanckiej oceny kapitalizmu, czym zastąpiono odpowiedzialną naukową analizę.

Kapitalizm przeszedł kilka faz w swoim rozwoju. Okres, w którym Miłkowski krzyczy o nędzy i niesprawiedliwości, jest jego szczytowym i końcowym okresem. Panują monopole i kapitał finansowy. Tak wygląda fasada tego ustroju, społecznie i moralnie najbardziej oburzająca. Poza nią znajduje się rusztowanie cywilizacyjne, budowane półtora wieku, z którego historia tylko część może odrzucić. Nie odrzuci nowego systemu produkcji przemysłowej. Odrzuci natomiast to, co przeszkadzało w jego postępie i upowszechnieniu, odrzuci zatem siłę kierującą dotąd cywilizacją techniczną — kapitalizm. On ją bowiem wprawdzie najpierw rozwijał, ale i skutecznie później hamował. Nastawiony na zysk od kapitału za cel gospodarowania miał nie zwiększanie ilości produktów, lecz powięk-



G. K. Chesterton

przełożył Tadeusz Chrościelewski

Trzej Królowie

Idźmy cicho pod deszcz i w śniegową roztań,
Aby miejsce odnaleźć, gdzie modlą się dusze!
A droga zakreślona przed nami tak prosto
Że najłatwiej z niej zbroczyć w nieprzebyte głuście.

Myśmy trzej królowie z ubiegłej godziny
We wszystko okrom prawdy bogaci;
Ze wzgórze na wzgórze oto wciąż błądzimy
I wśród drzew leśnych las nam się zatracił.

Idźmy pokornie przez śnieg i czas dżdżysty,
Droga tak prosta, że mógłbyś się zwinąć
I zgubić drogę, a żłobek tak blisko,
Że łatwo odejść w odległą krainę.

*) Rozdział książki p.t. „Drogowskazy na manowcach kultury ludowej”, która ukazała się w tych dniach, wydana przez Państwowy Instytut Wydawniczy.

DM 571 010 R. 10

szanie kapitału — rentowność. Ponieważ wraz z postępem technicznym rośnie wartość maszyn w stosunku do wartości plac roboczych, zysk zatem przedsiębiorstwa, czerpany z „wartości dodatkowej”, rabowanej robotnikowi — maleje. Dlatego kartele i trusty tamowały rozwój techniki. Ograniczały produkcję, podwyższając ceny. Zmniejszenie podaży dawało zysk, ale szerokie masy oddały w ten sposób od prawa do stałej, zapewnionej pracy i od korzystania z towarów nowoczesnej produkcji, której technika jedynie może podoląć zwiększonemu w treści i ilości zapotrzebowaniu nowożytnych narodów.

I Miłkowski, przedstawiający robotnika w roli dodatku do maszyny, przedstawiający miasto jako źródła „wynaturzenia człowieka”, jako wielką fabrykę zbroczeń fizycznych i moralnych, zaburzeń umysłowych i nerwowych — reagował na rzeczywistość kapitalistyczną. Kiedy kapitalizm wygrywa na robotniku niekwalifikowanym, obciążonym nadmierną ilością godzin pracy, pozbawionym higienicznych warunków, opieki lekarskiej i pewności pracy, kiedy istnieje rynek kupnych sił roboczych, utrwalał stałym bezrobociem, kiedy przemysł nie dochodził do wsi, a rosła nożyce cen... wówczas cienie miast rzucają na ekran egzystencji chłopskiej, daleki obraz tragedii „bezużytecznego” zmechanizowania.

USPOŁECZNINIENIE PRODUKCJI

Kapitalizm skoncentrował nie tylko w kilku rękach zysk — stały, w formie maszyn i źródeł surowców oraz zmienny, w formie akumulacji nadwartości plac robotniczych i bankowych kapitałów, do lichwiarских operacji. Skoncentrował również samą pracę. Ta koncentracja jest wynikiem walki w ramach wolnej konkurencji i wyrosła w oparciu o logikę prywatnego interesu. — Wszak frust to powiązanie źródeł surowców z fabrykami wszystkich poszczególnych stadiów produkcji głównego towaru. Kartele — powiązanie w całość jednej czy kilku gałęzi przemysłu. Jeszcze wyższy stopień koncentracji — to banki w nowej roli kapitalizmu finansowego, który łączy równocześnie politykę inwestycji przemysłowych, umów handlowych, pożyczek zagranicznych, popierających inwestycje i eksploatację przemysłową, albo nawet wprost zabór terytorialny dla zapewnienia sobie źródeł surowców, rynku zbytu, sił roboczych itd.

We wszystkich tych formach koncentrującej się organizacji kapitalizmu, a uwiecznionej panowaniem kilkuset „oligarchów finansowych”, w których ręku spoczywa los 8/10 produkcji świata — widać jak rośnie uspołecznienie produkcji. To znaczy po 1) rozmiary klasy robotniczej, głównego producenta (mimo, że przez kapitalizm ograniczane) w stosunku do nikłej i malejącej liczby dysponentów produkcji — po 2) rozszerzanie się planowania gospodarczego.

W tej chwili obejmuje ono cały świat. — Układane jednak przez kilkunastu równocześnie oligarchów, zainteresowanych w swoich prywatnych zyskach, daje obraz chaosu na przedostatnim szczeblu powszechnego ładu. Chaos ten jest najtragiczniejszy, ponieważ w konflikt kilku planów zaangażowany jest już cały świat. Kapitalizm imperialny dokonał w początku XX-go wieku ostatecznego podziału kuli ziemskiej. Pierwsza i druga wojna światowa były próbą naruszenia tej łupieżczej równowagi na rzecz młodszych, agresywniejszych konkurentów, jak naprzykład Niemcy i Japonia. Obie wojny zdruzgotaly Niemcy, ostatnia Japonię, osłabiły Anglię, wzmocniły Stany Zjednoczone i Związek Radziecki, reprezentujący przeciwny kapitalizmowi porządek.

Kapitalizm imperialny do służby dla swych podbojów użył majestatu państw i narodów, przerzucając konflikt społeczny z walki klasowej wewnątrz narodów na wojnę narodów. Uczynił lennikami a często wprost niewolnikami ekonomicznymi nieuprzemysłowione kraje, nie rzadko nie tracąc tam sympatii dla tych kilku bezwzględnie eksploatujących mocarstw światowych.

Kapitalizm panuje nie tylko w znaczeniu stylu organizacji i techniki produkcji — nie to rozstrzyga, że wszędzie o rynku cen i warunków decyduje prywatna fabryczka lokalna, że wszędzie syczący ambicji jednostkowej jest pozycja rentiera — kapitalizm panuje dziś nad światem w znaczeniu zasadniczym. Mniejsze i większe środki produkcyjne, mniejsze i większe banki wpływają jak strumienie i rzeki do kilku oceanów... dyspozycji finansowych, ostatecznie rozstrzygających o „klimacie” procesów ekonomicznych i społecznych świata.

Pod fasadą koncentracji kapitału oglądamy osiągniętą światową koncentrację warunków pracy (surowców, techniki i finansów oraz koncentrację samej pracy). Jest ona już obecnie w stadium wielkich skupisk robotniczych i wielkiego zróżnicowania funkcjonalnego.

Ten kierunek rozwoju form pracy — nieunikniony w cywilizacji technicznej — znajduje się o krok od zlikwidowania kapitalizmu. Pełne bowiem uzgodnienie zorganizowanie procesów produkcji na całej kuli ziemskiej wyrzuci kapitalizm.

Miał rację Miłkowski, widząc w perspektywie światowej jako główne siły walcące kapitalizm i ruch robotniczy. Ale dlatego niczego więcej w tej perspektywie dojść nie można. Nie tu więcej nie rozstrzyga ani „Inteligencja”, ani „chłopi”.

Inteligencja z roli pretorianów kapitalizmu przejść musi na stanowisko uspołecznionego świata pracy, chłopci włączyć się i wnieść na poziom systemu produkcji nowoczesnego świata pracy.

W rozwoju techniki leży powiększenie i udoskonalenie produkujących fabryk. — W interesie klasy robotniczej leży postęp techniki, bo oznacza on 1) zapewnioną dla wszystkich pracę, 2) pracę ułatwioną, odpowiadającą zainteresowaniu i uzdolnieniom osobistym oraz ulegającą coraz większemu skróceniu, 3) oznaczającą zwiększoną ilość produkcji, a zatem tańsze i obfitsze możliwości zaspokojenia potrzeb najszerszych mas.

W świetle tego, co zostało powiedziane, Miłkowskiego moralistyczna krytyka klasy robotniczej po przez krytykę komunizmu grzeszy rozbijającą naiwnością.

Miłkowski nie widzi w kapitalizmie zmechanizowania i biurokratyzowania, nie widzi „czynności według ustalonej formuły”. Jak grom z jasnego nieba spada to wszystko — w jego mniemaniu — dopiero w programach klasy robotniczej.

Warto tedy przypomnieć, co stwierdzano na ten temat w niemieckim piśmie ekonomicznym „Die Bank”, jeszcze w roku 1912. „Trzydzieści lat temu wolno-konkurujący ze sobą przedsiębiorcy dokonywali 9/10 tej pracy ekonomicznej, która nie należy do dziedziny pracy fizycznej robotników. — Obecnie urzędnicy wykonują 9/10 tej ekonomicznej pracy umysłowej. Bankowość stoi na czele tego rozwoju”.

Proces ten nie stanowi specyfium kapitalizmu, choć w jego systemie rozwinął się i jemu służył. Przeciwnie, proces ten im bliższy jest pełni, tym groźniejszy staje się dla kapitalizmu. Prowadził bowiem do całkowitego uspołecznienia produkcji, zatem do likwidacji nawet tych ostatnich Mohikanów — kilkuset oligarchów świata i zastąpienia ich woli nie tylko przez wolę swia-

ta pracy w technicznej jego funkcji — ten stan osiągnięty został już do tyła co najmniej, że faktycznym producentem — wykończycielem jest ten sam lud, którego kapitalizm ogrobia z dochodu społecznego i prawa do zaspokojenia potrzeb materialnych i duchowych — ale co najważniejsze, prowadzi do zastąpienia anarchizującej ekonomicznie woli oligarchów przez jeden powszechny plan gospodarki, powstający z woli całego świata pracy dla solidarnego gromadzenia bogactw i sprawiedliwego w konsekwencji zaspokojenia potrzeb wszystkich ludzi.

W wystąpieniu Miłkowskiego wyraża się przepaść, jaka dzieli tradycję wsi, niewyzwolonej wciąż jeszcze ze średniowiecznej „gospodarki naturalnej” i wczesno-kapitalistycznej (zniesienie pańszczyzny) rozbięcia uspołecznionych form produkcji na schodzący, drobnicową i rozproszoną gospodarkę chłopską — od tradycji europejskiej i światowej, jaka w ciągu ostatniego półtora wieku oparła ludzkość o system gospodarki towarowej — przemysłowej — powiązanej i wymagającej coraz większego ujednoczenia w planowaniu i technice.

Dlatego jego oskarżenie sięga niestety o wiele poza kapitalizm i komunizm. Przed czym ostatecznie broni Miłkowski „wolniści jednostki”? Przed „zmechanizowaniem”, przed „zejściem do roli maszyn”. I to zarówno w wypadku kapitalizmu jak socjalizmu. Jeden diabeł! A jeśli tak, to mamy tu do czynienia z zerwaniem z wielkimi wątkami cywilizacji europejskiej, mamy przeciwstawienie bogactwu nauk przyrodniczych i ich praktycznym konsekwencjom — fantazji, marzenia o powrocie wstecz do improwizowanej przez jednostkę gospodarki, do wolnej, a „rzetelnej” konkurencji w drobnej produkcji i drobnej wymianie.

Marzenie to utęga rzeczywistości — tj. istnieniu najwyższej fazy kapitalizmu o uspołecznionej produkcji w światowym zasięgu. Urąga również faktycznym potrzebom mas ludowych, które pragną największej i najlepszej produkcji oraz najsprawiedliwszego rozdziału dochodu społecznego.

Posiadając w swoim ręku sztukę produkcji właśnie najobfitszej i najlepszej nie wyrzekną się nowoczesnej techniki i organizacji jednoczącej składowe procesy produkcji. I nie przestaną walczyć o to, czego im brak: prawa wszystkich pracujących do decydowania o wspólnej, sprawiedliwej gospodarce.

WIEŚ W EPOCE KAPITALIZMU

W epoce industrializacji procent ludności rolniczej w stosunku do pracowników w innych zawodach ulegał stale zmniejszeniu aż do granicy, przy której traciła ona społeczną odrębność „warstwy chłopackiej”. Jest to proces nieodwracalny. Historia wymazuje ze swych kart nie tylko klasę szlachecką, ale i związaną z nią jednością systemu feudalnego „warstwę chłopską”. — Nowy system produkcji zmienia tradycyjny układ społecznych sił produkcji.

Jaką rolę odgrywa w tym epokowym procesie kapitalizm? Haniebną. Potrzebuje sił roboczych do nowej gospodarki przemysłowej. Pierwszym rezerwuarem staje się dla niego jeszcze ze średniowiecza pozostały typ ludzi t. zw. luźnych-obleżyświatów. To nie wystarczy. W Anglii wysiedla się chłopów. Drobną gospodarką zostaje zamieniona na hodowlane latyfundia. Przybywa robotnik do miast i fabryk.

Ustępstwa czynione na rzecz chłopca w Królestwie Warszawskim i Królestwie Kongresowym — przede wszystkim prawo o puszczenia wsi — również miały na widoku próbę rozwinięcia u nas przemysłu. Była to w większości wypadków pańska robotnia. Chłop okazywał się bardziej rentowny w fabryce niż na pańszczyźnianym gruncie. Ale Staszyc pod powierzchnią oświeconego interesu Tyzenhauzów, Małachowskich, Połockich i Lubeckich widział jedyną szansę podniesienia się ludu i wejścia w naród. Któż plastyczniej od niego opisał nędzę i dziczynę gospodarki chłopskiej i któż wówczas namiętniej odkrywał możliwości górnicze i przemysłowe w kraju? Jeśli — jak słusznie rozumował Staszyc — od tego typu gospodarki zależy bogactwo i potęga nowoczesnego państwa, to skoro lud ją rozwinię, stanie się klasą rzeczywistą decydującą.

Gdyby Miłkowski poczytał sobie Staszycę, przekonałby się, że ten myśliciel i badacz skarbowi polskiej ziemi stopięćdziesiąt lat

temu „zrobotniczeniu” ludu przypisywał niezwykle przyszłość: faktyczne kierowanie losem narodu.

Byli u nas ludzie, którzy w pierwszych braskach industrializmu europejskiego umieli zrozumieć i docenić ekonomiczną wartość nowego systemu produkcji i związanych z nimi przeobrażeń społecznych. — Niestety, stare grzechy, jak zniszczenie miast w XVI wieku, a po tym okresie niewolli zachowały w kraju prymat ziemiaństwa, a wraz z nim niezmienną wieś.

Kapitalizm, jak to już mówiliśmy, nastawiony nie na produktywność, lecz na rentowność, na ostatecznym planie kładł techniczne podniesienie wsi. Nie w tym leżał problem, że wieś produkowała mało i nieopłacalnie, ale, że właśnie w cenie jej towaru mogła być nie zaliczona płaca robocza. W stosunku do przemysłowego rynku cen towar ten był zbywany z dopłatą chłopa, równą cenie pracy wielu dniówek jego rodziny.

Kapitalizm promieniował z kilku krajów. Im bliżej zasięgu jego źródła, tym szybciej wieś z konieczności wyludniała się, a równocześnie wchodziła w wyższe formy produkcji i korzystała w większym stopniu z dobrodziejstw cywilizacji technicznej. Wpływały na to dwa powody — 1) Rozwój przemysłowy krajów rosnącego kapitalizmu, zatrzymując wieś w jej tradycyjnym systemie gospodarki, stwarzał taką ekonomiczną dysproporcję, że nędza i nieopłacalność na wsi zapewniała mu na długo tani rezerwuarek roboczych sił do miast. 2) Te przesunięcia kawały w następstwie uprzywilejować we własnym interesie, jako bazę żywnościową, właśnie, o zmniejszonej sile ludzkiej, rolnictwo, a nawet kraje okoliczne. Pomyślność chłopskiej, rolniczej Danii, należy przypisać jej roli „dojnego wymienia” u brzegów W. Brytanii. Anglia wygrała ją przeciw Niemcom, młodemu energicznemu konkurentowi w kapitalistycznym imperializmie. Słusznie prof. Chałasiński datuje wzrost znaczenia i rozwój Uniwersytetów Ludowych w Danii od czasu jej pierwszej wielkiej wystawy rolniczej. Po wojnie duńsko-niemieckiej Anglia odebrała Niemcom tę bazę żywnościową i uczyniła wiele aby uintensyfikować jej produkcję. Za jednym posunięciem ubiła dwie korysy — utrudniła Niemcom sytuację państwa przemysłowego, a sama zyskała tańsze od kolonialnego (koszta transportu) zaplecze żywnościowe w artykułach wymagających częstej i szybkiej dostawy.

W innej roli analizy się oddalone państwa rolnicze. Cała taw. wschodnia Europa. Tu wcale już nie opłacało się kapitalizmowi żyć inwestycjami (wieś — największe przestrzenie i najbardziej rozproszona praca) na zastąpienie obfitej i najtańszej siły ludzkiej siłą techniki i odpowiednich nauk. Nie stać na to było załączkowych przemysłów krajowych, z reguły pozostających w zależności od banków zagranicznych i z reguły posiadających jako właścicieli obcych przemysłowców. Nawet w potężnej Rosji carskiej w 1913 roku największe jej banki narodowe siedziały w portfelu banków niemieckich („Rosyjski” w Banku Niemieckim, „Petersburski” w berlińskim Towarzystwie Dyskontowym) i w takich warunkach zaczynała się wojna światowa.

Oddalone rolnicze kraje spotykał los „pół-kolonii”. Penetracja miała za zadanie oprócz eksploatacji uniedostępnić im wyjście z zapóźnienia cywilizacyjnego, co byłoby równoznaczne z wejściem na drogę konkurencji z panującymi państwami kapitalistycznymi. Jasne, że największą ofiarą w tych pół-kolonialnych stosunkach padła warstwa chłopska, tak, że poza muzeami dziś ona jest ostatnim jeszcze, żywym ekspozytem średniowiecza.

NOWOCZESNY ŚWIAT PRACY, CZY FANTAZJE AGRARYZMU?

Czy Miłkowski nie rozumiał, że właśnie ten stan cywilizacyjnego opóźnienia wsi jest jej dramatem, a nie konieczność wejścia w wyższy system produkcji i w nowy układ stosunków społecznych?

Czy nie widział, że w krajach uprzemysłowionych ilość ludności rolniczej waha się między 6 a 30 procentami? Czy nie dostrzegł, że zaclera się tam granica między miastem a wsią? Że ci pracujący na wsi, to zawodowcy, technicy, specjaliści? Że mamy tu conajmniej typ przedsiębiorcy, nastawionego na jeden czy kilka wybranych rodzajów produkcji rolnej, przedsiębiorcy włączanego w odpowiedzialnie ogniwo branżowe, w gałąź odpowiedniego

JAN ALEKSANDER KRÓL

DROGOWSKAZY
NA MANOWCACH
KULTURY LUDOWEJ

str. 290.

PAŃSTWOWY INSTYTUT
W Y D A W N I C Z Y
W A R S Z A W A

przemysłu i stałego runku zbytu. Że mamy, jak w Anglii czy St. Zjednoczonych typ nowoczesnego robotnika: ślusarza, traktorzystę, mleczarza, higienistę, dojarza, przyrządzacza karmu, ogrodnika, planatora itd. Że ten robotnik należy do Związku Zawodowego, opiera się o umowy zbiorowe, ma osmiogodzinny dzień pracy?

Cóż zatem znaczył lęk przedtem, aby nowy ustrój nie powstał wyłącznie „w oparciu o jedną warstwę społeczną”? Cóż wyrażało oskarżenie klasy robotniczej o przypisywanie sobie przez nią takich twórczych wartości, które jedynie mogą być fundamentem sprawiedliwego ustroju społeczno-gospodarczego?

Lęki te i oskarżenia powstały w wyniku niezrozumienia przez Miłkowskiego charakteru awansu warstwy chłopskiej. Jej wejście w naród nie może odbyć się na zasadzie zachowania odrębności, którą uformowały przeszłe stulecia, to znaczy feudalna struktura socjalna i tamten układ społecznych stosunków produkcji, zmodyfikowany popańszczyźnianym drobno-kapitalistycznym liberalizmem.

Wejście chłopów w naród wiąże się z ujednoczeniem społecznym narodu. Podstawą tego ujednoczenia jest jedność systemu produkcyjnego. Technizacja, uprzemysłowienie, narodowy plan gospodarczy — oto nowe czynniki wiążące i ujednostajniające społecznie. Są one silniejsze i ważniejsze dziś nad różnicę rodzajów surowców i gałęzi produkcji.

Nowy ustrój ma się oprzeć nie o jedną klasę w tradycyjnym znaczeniu. Ma się oprzeć o jeden, wspólny, nowoczesny świat pracy, którego pionierem narodowym był robotnik fabryczny i o tyle jest on tu wzorem. Od rozszerzenia się tego nowoczesnego świata pracy na całe społeczeństwo, na warstwę chłopską, zależy osiągnięcie nowego zjednoczenia w naszym narodzie, osiągnięcie pełnej demokracji.

Gdyby Miłkowski zabiegał o zachowanie na wsi prywatnej własności w imię partykularnego rozwiązania uspołecznienia środków produkcji wówczas byłaby to dyskusja płodna a nie szkodliwa.

Wszak prywatność gospodarstw chłopskich została w nowej Polsce zachowana właśnie w słusznym uszanowaniu warstwy chłopskiej za jej tragiczne dzieje, w słusznym przekonaniu o jej przynależności do świata pracy oraz w niemniej chyba słusznej nadziei, na jej ambicję dobrowolnego i twórczego włączenia się w nowoczesne formy uspołecznionej produkcji.

Ale u Miłkowskiego sprawa nieokreślonego wsi stała się okazją do przypisania ruchowi robotniczemu doktrynalnej ciasnoty, poza którą wyjść nie chce i nie może. Charakterystyka ta mogła i chciała chłopów przestraszyć. Miłkowski zerwał mosty przez swoją niewiedzę historyka, ekonomisty i socjologa.

I jak zaczął, tak też kończy. Odrzucając warstwę chłopską od jedności z nowoczesnym światem pracy, ukazuje jej wizję przyszłości, która nawet elementarnie nie liczy się z rzeczywistością historyczną i rozwija się co krok na fałszach i bredniach.

„Jeśli się zważy, że z załamaniem się kapitalizmu i powolnym upadkiem kultury zachodniej łączy się również organiczny problem przeżycia się ludów romańskich i germańskich — to z tych ogólnych przesłanek możemy wyciągnąć wniosek, że przodująca rola w budowie nowego świata winna przypaść w udziale narodom słowiańskim, jako kulturalnie młodym i o niewyczerpanym jeszcze zasobie sił twórczych. Słowianie charakterem swoim w dużym stopniu różnią się od innych narodów i w ich naturze można się doszukać dużo pierwiastków dodatnich, mogących się stać zaczynem przyszłego, sprawiedliwego ustroju. A przecież słowianie to przeważnie rolnicy”.

Oto, jak klasycznie zemściło się na tym „ekonomiście” całkowicie podporządkowanie się spekulacjom filozoficznym w stylu Bujaka i Niecki. Któż to poważnie wiąże z upadkiem kapitalizmu upadek kultury zachodniej? I co się tu rozumie pod terminem „kultura zachodnia”? Kto poważnie stawia zagadnienie „przeżycia się” (biologicznego?) narodów germańskich i romańskich? I to w prostej zależności od losu kapitalizmu? Kto poważnie reklamuje Słowian z tytułu ich młodszości kulturowej i specyficznych „pierwiastków” ich „natury”? Kto to na serio mniema, że narody mają określony swój czas biologiczny, że w tej biologii, jak w naczyniu przechowuje się gotowy model kultury i kie-

dy go naród zreprodukuje w historii, historia mówi mu do widzenia i naród umiera, biologia jego się wyczerpała? Kto na wyspekulowanych cechach „podrasy” opiera przewidywania przemian społecznych i gospodarczych? Dla kogo te subiektywnie zarejestrowane „pierwiastki” „na-

tury” narodów słowiańskich grają najważniejszą rolę w budowie nowego ustroju? Kto wreszcie z obserwacji, że w najbardziej zapóźnionych cywilizacyjnie krajach słowiańskich „największa ilość ludności znajduje się na wsi — wyciąga wniosek o specjalnym posłannictwie chłopskim, któ-

re świat powróci „do praw i zasad ziemi, do współżycia człowieka z przyrodą i praw rządzących produkcją drobnorolniczą”?

A tak się przedstawia historiozoficzna nadbudowa agraryzmu!

D. c. n.

J. A. Król

Bylina o zagładzie bohaterów

Wyjechało w stronę Safat — rzeki
O zachodzie czerwonego słonka
Siedmiu śmiałych rosyjskich wiciądów,
Siedmiu tęgich braci ukochanych:
To wyjechał Godeńko Błudowicz

I Wasyli Kazimierzowicz,
I Wasyli Busłajewicz,
I Iwańko — Gostyna syn,
I Alosza Popowicz młody,
I Dobrynia — piękny młodzieniec,
I wyjechał ten kozak zwalisty,
Ten zwalisty kozak Ilia Muromiec...
A tam przed nimi rozścieli się pole gołe.
Na tym polu siwy dąb stoi,
Siwy dąb stoi żyłasty.

A u tego dębu trzy drogi się zeszyły:
Jak raz pierwsza to do Nowogrodu,
A ta wtóra do sławnego Kijowa,
A ta trzecia do sinego morza,
Do sinego — morza — dalekiego.
Przystanął wiciądz na rozstaju,
Zaciągając biały namiot płócienny,
Puszczą wolno konie, niech skaczą w polu
gołym.

Skaczą konie po jedwabnej trawie —
darni,
Zieloniutką darń poszczypując,
Pozłocistą uzdeczką pobrzękując,
A wiciądz w namiocie płóciennym
Spoczynek odprawiają.

A było to o wschodzie czerwonego słonka...
Wstaje młody Dobrynia rano niżli inni,
Umywa się chłodną wodziczką,
Wyciera się cienkim ręczniczkiem,
Pomodli się przed świętym obrazem...
Aż ujrzy Dobrynia za Safat — rzeką
Biały płócienny namiot.

A w namiocie leży Tatareczek —
Zły Tatareczek — bisurmaneczek.
Siodła Dobrynia konia bułanego
Kładzie na niego potniczki,
Na potniczki — wojłoczki,
To siodelko czerkieskie,
Te włócznie urzamięckie
I dosiada konia bułanego.
Konia się pod Dobranią rozhuła,
Od ziemi — macochy odrywa,
Daje chodu na wiorstę mierzoną,

Daje susy by stogi wysokie
I podjeżdża pod namiot płócienny.
Tedy krzyknie Dobrynia głosem mocnym:
— Tee! wylażno, Tatareczku —
Zły Tatareczku — bisurmaneczku,
Będziewa z tobą, godny toczyć bój!

Nie dwa wiatry w polu się chwycą,
Nie dwie chmury w niebie się zepną,
Chwycą się, zepną się dwa prześmiałe
wiciądze.

Połamały się ostre włócznie,
Rozprysły się ostre miecze,
Poschodzili z koni bułanych,
Toczą bój zapaśniczy...
Prawa nóżka Dobryni wysłizgnie się,
Prawa rączka Dobryni zadrzy.
Upadł na ziemię — macochę,
a było to o wschodzie czerwonego słonka.

(Przywrócony do życia przez Aloszę Popowicza za pomocą wody żywej powraca Dobrynia nad ranem do swych sześciu towarzyszy, tymczasem!)

Wstaje Ilia Muromiec rano niżli inni,
Przybliża się do Safat — rzeki,
Umywa się chłodną wodziczką,
Wyciera się cienkim ręczniczkiem,
Pomodli się przed świętym obrazem
I postrzeża, jak przez Safat — rzekę
Przeprawia się siła bisurmańska...
Ni tej siły młodzieńcowi objechać,
Ni wilczkowi siwemu obkoczyć,
Ni krukowi czarnemu oblecieć...
Jak nie huknie Ilea głosem mocnym:
— Hej, gdzieście bracia ukochani,
Krzepcy moi wiciądzowie?

Jak nie skoczą na siłę bisurmańską.
Jak nie skoczą na siłę bisurmańską,
Zaczynają się tłuc — rąbać,
A nie tyłu wiciądz zakolą
Ilu konie bułane zatłuką —
Zwyciężyli całą siłę pożańską.
Tedy jeli się wiciądz chełpić:
— Nie zmachały się nasze ramiona,
Nie dostały nasze konie bułane.
A powiada Alosza — syn popi:

A dajcież nam siłę zaświatową,
My i z taką się wiciądz, rozprawimy.

Ledwie wyrzekł owe słowa nierozumne,
Pojawili się dwaj wojacy*)
I huknęli głosem ogromnym:

— Bywajcie nam tu wiciądze, stoczcicie
z nami bój,
Nie zważajcie, że nas dwoje a was
siedmiu...

Nie poznali wiciądze wojaków,
Rozsierzdzi się Alosza na te słowa,
Naskoczy na owych wojaków
I rozrąbie ich na odlew na połowę...
Jest ich czterech a wszyscy żywi.
I naskoczy ten Dobrynia młody
I rozrąbie ich na odlew na połowę...
Jest ich ośmiu a wszyscy żywi.
I naskoczy sam Ilia Muromiec
I rozrąbie ich na odlew na połowę...
Jest w dwójnasób tyle, wszyscy żywi.
Tedy kupą naskoczą wiciądze,
Zaczynają siłę rąbać — kłuć...
A siła wždy rośnie i rośnie
Na wiciądzów w bój idzie rozgłośnie.
A nie tyłu wiciądz zakolą,
Ilu konie bułane zatłuką.

A siła wždy rośnie i rośnie,
Na wiciądzów w bój idzie rozgłośnie...
Tak walczyli wiciądze trzy dni,
Trzy godziny oraz trzy minuty,
Zmachały się ramiona krzepkie,
Ustały konie bułane,

A siła wždy rośnie i rośnie,
Na wiciądzów w bój idzie rozgłośnie.

Potruchleli rycerscy wiciądze
I uciekli na kamienne góry,
Do ogromnych pieczar niedostępnych.
A jak podbiegnie wiciądz pod górę,
To skamienieje;
A jak podbiegnie wtóry
To skamienieje,
A jak podbiegnie trzeci,
To skamienieje...
I odtąd nie bywało wiciądzów na Świętej
Rusi.
Amen.

To jest staryna i to jest powieść.

*) Wg. niektórych wariantów mają to być dwaj archaniołowie.

OD TŁUMACZA

Tłumaczenie powyższej byliny, zarówno jak i pozostałych przygotowywanych przeze mnie zwolna do wydania, częściowo zaś drukowanych r. ub. we „Wsi”, oparte jest na najstaranniejszym z popularnych wydań — M. Sperańskiego — „Russkaja Ustnaja Słowiestnost” — wyd. Sabasznikowych — Moskwa 1916 — do którego dostęp umożliwił mi znawca twórczości ludowej profesor Julian Krzyżanowski. Jego to rozprawa: „Byliny” — Wilno 1934, a w większym i szerszym stopniu doskonałe wykłady na tajnym studium polonistycznym w latach okupacji zwróciły moje zainteresowania w tym kierunku. Bylina należy do najmniej jasnych dla nas zjawisk literackich. Mimo szeregu mniej lub więcej prawdopodobnych hipotez i bardzo żmudnej pracy pięciu pokoleń badaczy (I-sze wyd. bylin w r. 1804), zgrupowanych w kolejno po sobie następujących szkołach metodologicznych (przy czym największy wkład wniosły szkoły: historyczna i porównawcza) — pozostało zagadką prawie wszystko: i źródło owej energii pieśniotwórczej, która spowodowała narodzenie się bylin, i czas tych narodzin, i przynależność społeczna oraz zawódowa pierwotnych układaczy-recytatorów — może to byli owi znani ze „Stogława” skomorachowie — „śmierchotwórcy” — „glumotwórcy”, na których „nieskromne gry” i „bieszowskie pieśni” skarżył się cerkiew prawosławna przez XVI i XVII w. aż do pamiętnego zakazu cara Aleksandra. Niewyświetlony jest również stosunek bylin do pokrewnych im treściowo i stylistycznie opowieści-baśni — tzw. „pobywałszczyń”. Nie wiemy mianowicie, które są pierwotniejsze.

Wiadomo tylko, że gdy w II poł. XVIII w. nieznanym nam bliżej Kirsza Danilow czynił na terenie fabryk permskich pierwsze zapisy bylin, rosyjska epika ludowa była już od dłuższego czasu martwa; nowe watki nie pojawiały się. W instynktownej trwodzi przed „zapomnienia fala” kładziono niasłyszane silny nacisk na jak najdokładniejsze powtó-

żenie tekstu; stąd owo charakterystyczne powiedziisko recytatorów: „Z pieśni ni słoweczka nie wyrzucić, święte ono”.

Recytator był już zaś zwyczajnym chłopem, rybakim, myśliwym, wyróżniającym się li tylko dźwięcznym głosem i wybitną pamięcią. Bylina schroniła się w obszary dalekie od centrów kulturalnych: Białomorszczyznę, Sybir, Powołżę...

Skostnienie rosyjskiej epiki ludowej nastąpiło w momencie dość nieszczęśliwym — mianowicie w początkowej fazie procesu cykliczacji luźnych wątków.

W formującym się cyklu ostatnie miejsce miała przypadać grupie bylin, której charakterystycznymi cechami są: natężenie walk z Tatarami, pojawienie się obok nieświadomej groteski bardzo rzadkiego gościa w dotychczasowych bylinach — tragizmu, a wreszcie — śmierć wiciądzów. Grupa ta w zbiorach bylin nosi nazwę „pieśni o zagładzie bohaterów”.

Szkola historyczna — wyczerpując jak zwykle cały materiał kronikarski i wybierając zeń wszystkie nazwy geograficzne oraz nazwiska historyczne podobne do bylin (podobieństwa są dość często przypadkowe z dalekimi pogłosami kłęski nad rzeką Kalką (1224), jednocześnie zaś z uświadomieniem sobie przez zbiorowy geniusz ludu że fakt ten zadecydował o zakończeniu pierwszego archaiczno-epicznego okresu życia Rosji. Z biegiem lat, gdy „tatarskie igo” zacierało się w pamięci, byliny, idąc po linii narodowej miłości własnej słuchaczy, rozszczepiły się na sam opis bitwy, która teraz kończy się zwycięsko oraz na opis niezależnej od jej wyniku śmierci bohaterów (Sperański). Szkoła porównawcza na podstawie chronologii wędrujących wątków literackich mocno przybliżyła ku naszemu czasom „złoty wiek” bylin (ciekawym i śmiałym poglądem wypowiada Krzyżanowski), zwraca m. in. uwagę na podobieństwo motywu ostatniej bitwy bylinnej z podobnym motywem „Nibelungów” czy podań celtyckich o „królu Arturze i rycerzach okrągłego stołu” (Wojna z Mordredem). Współczesne

poglądy uczonych radzieckich są mi, niestety, najmniej znane, gdyż, mimo wszystko, co się na ten temat pisze, rosyjska rozprawa krytyczna nie może jeszcze jakoś trafić do rąk szarego naukowca.

Każda ze szkół ogranicza się do jednego przeważnie aspektu zjawiska tak skomplikowanego, jakim jest bylina i każda ma ze swego punktu widzenia w grubszych zarysach rację.

Uważam, że geneza tej grupy bylin tłumaczy się w bardzo znacznym stopniu od strony psychologicznej.

W umyśle prymitywnego odbiorcy utworu literackiego granica między rzeczywistością a fikcją artystyczną nie zaznacza się ani w przybliżeniu z tą wyrazistością, co u doświadczonego odbiorcy kulturalnego. Zatem nasuwa się psychiczna konieczność wytłumaczenia słuchaczowi, dlaczego w jego zupełnie wyraźnie, bez cienia wątpliwości porzucił pocziwych bohaterów, jak strzygę przybie kółkiem bromowym do ziemi, ażeby nie siał zamętu. Mam wrażenie, że dla tej samej przyczyny (podobieństwo nie byłoby wyłącznym wynikiem „rajzerki” wątków po Europie), tak a nie inaczej ukształtowały się ostatnie wydarzenia „Nibelungów”, cyklu celtyckiego, a nawet dlatego tak nielitościwie obszedł się ze swymi monarchami-rycerzami Homer.

Jest tragiczny patos w śmierci „siedmiu braci ukochanych”. Kamieniejąc pozostawali jednak w błędzie: To nie przechwałka Aloszy sprowadziła nieszczęście, a jednak dziwnym zbiegiem okoliczności w momencie, gdy rozbrzmiewały słowa pyszałkowatego bohatera, stąpił Los, ażeby zniszczyć świat bylin, a powołać do życia nowy świat, w którym będą żyli niepiśmienni rybacy, będą słuchać z nabożeństwem, naprawiając w zimowe wieczory swe bardzo długie sieci, rytmicznych opowieści „skaziciela batiuszki”.

Tadeusz Chrościelewski

Władysław Blechul

Zmieńmy gospodarcze oblicze wsi

Sprawy i zagadnienia związane z życiem gospodarczym wsi i materialnym dobrobytem chłopów, były dotychczas w skali państwowej traktowane po macoszemu, a w publicznych dyskusjach i pojedynczych rozmowach przy czarnej kawie nie cieszyły się specjalnym zainteresowaniem.

Nawet wywodzący się ze wsi inteligenci, publicyści i społecznie wstydlivi i jakby z zażenowaniem dotykali tych najważniejszych zagadnień wsi, zachowując na ogół wobec tych spraw swoją szlachetnie współczującą obojętność.

Jedynie niektórzy literaci i pisarze ludowi dawali i dają w swych utworach mniej lub więcej prawdziwy obraz codziennego, szarego życia wsi, odślaniając odważnie bajeżone koloryte zasłony, w jakie otula twarde życie chłopie inteligencja naiwność ekwilibrystów sentymentalistów lub tendencyjne zakłamanie różnych frazeologów.

Ale bezwzględnie dokładniejszy i prawdziwszy obraz życia chłopów poeci dopiero daje nam, umiemy i chcąc patrzeć, osobiste zetknięcie się z codziennym życiem wsi, pod warunkiem, że wejdziemy pod chłopską strzechę niespożyciwania i bez zapowiedzi, że przyglądniemy się warunkom życia chłopiejszej rodziny nie „od święta“, od strony świetlicy ludowej, wiecu, kościoła czy odpustu, ale „na codzień“, od strony stajni, chlewu, zabłoconego podwórza i ciasnej izby chłopiejskiej.

Wtedy dopiero otworzą się nam oczy na sprawy dotąd przed nami wstydliwie ukrywane, wtedy dopiero znajdziemy sposobność do rewizji naszych dotychczas nieraz zbyt optymistycznych na nie poglądów. Próba takiego wejścia w opłotki chłopiejskie, krótkiego nasświetlenia chłopiejskiej twardej doli będzie niniejszy szkic nakreślony na podstawie osobistych wspomnień i obserwacji w terenie.

Na wstępie pragnę zwrócić uwagę na to, że dzisiaj po wojnie poglądy przeciętnych obywateli w sprawie położenia materialnego wsi są krańcowo różne a dadzą się wyodrębnić w dwie zasadnicze grupy.

Jedni z pośród tych samorodnych ekonomistów i socjologów twierdzą uparcie, że chłop dlatego tak długo żył i żyje w prymitywizmie i zacofaniu gospodarczym, bo mu z tym było dobrze, bo się do tego przyzwyczaił a i dziś z lenistwa nie chce przyswoić sobie i otoczeniu wyższego poziomu życia, nie chce korzystać z udogodnień i zdobyć gospodarczych, jakie gwarantuje dzisiejszy ustrój.

Natomiast drudzy stoją na wręcz odmiennym stanowisku i twierdzą, że niedza wsi i bieda w chłopiejskiej chacie należą już do przeszłości, bo korzystając w okresie okupacji z dobrej koniunktury gospodarczej, chłop wzbogacił się niesłychanie i dziś żyje na poziomie wyższym od stopy życiowej przeciętnego robotnika lub inteligenta pracującego w mieście. Na uzasadnienie tego twierdzenia cytują ze zgorznięciem takie przykłady, jak ten, że chłop w czasie okupacji kupował w mieście pożytkowe kanapy, a jego żona i córka nierazko chodziły i chodzą w jedwabnych pończochach.

Jednak każdy nieuprzedzony i jako tako zorientowany w tych sprawach obserwator musi odrazu stwierdzić, że obie te zasadnicze opinie o wsi nie odpowiadają rzeczywistości wiejskiej, a prawda w tym przedmiocie leży, jak zwykle, w pośrodku.

Nie cofając się zanadto wstecz musimy przyznać, że w okresie międzywojennym poziom życia przeciętnej rodziny chłopiejskiej był niesłychanie niski, że robotnik w mieście, choć często borykał się z biedą, żył w bezsprzecznie lepszych warunkach materialnych.

Ten stan rzeczy nie był jednak wynikiem jakiegoś wrodzonego chłopiejskiego — jak chcą niektórzy — przywiązania do prymitywu lub wynikającej z zachłanności na ziemię manii oszczędzania, ale prawie wyłącznie rezultatem wiekowych zaniedbań i postępującej z roku na rok, wskutek błędnej polityki rządu sanacyjnego, pauperyzacji rzeszy chłopiejskiej.

Nie trzeba przypominać jak fatalnie na życie i na chłopiejskiej doli zaciążył zniesiony dopiero w drugiej połowie XIX wieku system niewolnictwa pańszczyźnianego oraz niesprawiedliwy w Polsce międzywojennej podział własności ziemskiej, gdzie na trzy miliony gospodarstw rolnych, blisko dwa miliony stanowiły gospodarstwa karłowate (niżej 5 ha.), gdy równocześnie wielkie obszary ziemi były skupione w rękach nielicznej stosunkowo grupy obszarników i stanowiły podstawę dobrobytu tej na krzywdzie chłopiejskiej wyrosłej elity.

Przy ówczesnych cenach artykułów rolniczych (np. pszenica 100 kg. — 15 zł.) przeciętny gospodarz ósmiomorgowy, a więc produkujący co roku na zbyt z trudem wygospodarowywał fundusze potrzebne na zakup sprzętu gospodarskiego, nawozów sztucznych i najkonieczniejszego okrycia na zimę i to pod warunkiem, że ograniczał do minimum spożycie wytworów swego gospodarstwa i mieszał z konieczności w warunkach prymitywnych. Nie mógł również marzyć o kształceniu dziecka w mieście, ani też pozwolić sobie na prenumeratę chłopiejskiej gazety.

Czyż trzeba opisywać jak w tej sytuacji kształtowały się warunki życia chłopiejskiej rodziny, który z własnego zagona nie mógł wyżyć swą liczną swyżkę rodziny lub komornika wiejskiego, który żył a raczej vegetował z najmniejszą pracą na pańskim w gronie?

Nic tedy dziwnego, że jeden i drugi, nie mając możności wpływania na zmianę istniejącego stanu rzeczy z rezygnacją opuszczal ręce i tkwił w miejscu, znosząc bez szemrania swój ciężki los. Desperacki strach chłopiejski był raczej ograniczoną terenowo i na ogół nieudaną organizacyjnie manifestacją polityczną.

Kogo interesowało wówczas zagadnienie materialnych warunków chłopiejskiego życia, ten mógł zauważyć, że nasz chłop małorolny mieszkł wraz z całą, nieraz bardzo liczną rodziną w jednej posiadłości, cej ze stajnią i izbie o polacie glinianej zamiast podłogi, że sypiał na barłogu przykrytym workiem z tym, że czy zimą czy latem okrywał się dostatką pierzyna, jedynym może przedmiotem zbytku w chłopiejskiej chacie, że z nastaniem zimy nie zapalał lampy, bo nie miał na naftę, że on sam i jego rodzina tylko na wielkie święta lub w razie śmiertelnego wypadku w domowym świetle zwierząt spożywali mięso, a kromka chleba z masłem lub jajko stanowiły nadzwyczajną premię dla chłopiejskiego „dziecka“. Do wyjątków należały wówczas wsie, gdzie — jak na Podhalu — rozwijało się bardziej wygodne, choć prawie wyłącznie na zysk obliczone, budownictwo wiejskie, lub gdzie ze względu na urodzajność i umiejętności uprawy ziemi oraz wielkość gospodarstw chłopiejskich (poznzańskie) warunki bytu rodziny chłopiejskiej odbiegały od wyżej opisanych z charakterystycznych, co jeszcze raz podkreślam, dla przeciętnych gospodarstw w „akomitej“ większości gromad i osiedli wiejskich!

Osobną i niepokojącą pozycję w tym układzie stosunków zajmował problem milionów bezrobotnych na wsi, którego do problemu ówczesny rząd sanacyjny nie kuśił się nawet rozwiązać.

Nie ulega wątpliwości, że na tym ponurym tle okres okupacji niemieckiej zaznał swój cie w życiu wsi w okresie początkowym pod względem materialnym pewną pozorną zmianą na lepsze.

Traktując okupowane tereny polskie jako obszar eksploatacji rolniczej dla wyżywienia wojska i ludności niemieckiej, z braku własnych rezerw ludzkich, Niemcy tolerowali chłopów, jako potrzebną i taną siłę roboczą i do czasu traktowali ich należycie a nawet kochali gospodarzo. Nie trzeba podkreślać, że to fakt znany, że polski chłop umiał przechrzyć Niemca i pod względem narodowym nie dał się sprowadzić na manowce, by w następnej fazie rozgrywek z Niemcami wziąć najczynniejszy udział w Batalionach Chłopiejskich i w akcji sabotażowo-dywersyjnej polskiego podziemnego ruchu oporu.

Niemniej początkowo umiał wyzyskać swoje uprzywilejowane stanowisko producenta troskliwie racjonowanych dóbr doczesnych i dzięki korzystnej początkowo dla chłopiejskiej rozpiętości cen między artyku-

łami przemysłowymi a wytworami gospodarstw wiejskich, jakie — mimo czujności okupanta — udało się znaleźć na rynek, osiągnął nieco wyższy poziom życia w znaczeniu materialnym. Niezależnie od tego, że wzrosło bezpośrednio spożycie samodzielnego chłopiejskiego, w gospodarstwie wiejskim pojawiać się zaczęły nowoczesniejsze maszyny rolnicze, poprawiło się urządzenie wnętrza chłopiejskiej izby, a skrypnia i komora chłopiejska, zapewniły się dostatecznie choć czasem równocześnie tandetnie modniejszym okryciem.

Ta poprawa była jednak — jak wspominałem — udziałem gospodarzy samodzielnych, produkujących częściowo na zbyt, bo równocześnie los chłopów właścicieli gospodarstw karłowatych, a ci przecież stanowili i stanowią na wsi szlakomitą większość, oraz dola biedoty wiejskiej uległy wskutek obciążenia kontyngentowych gwałtownemu pogorszeniu.

Nie trudno jednak stwierdzić dziś, że i te początkowe zdobycze gospodarzy bogatszych elity wiejskiej w rozwoju wypadków wojennych nie zostały majątkowo zrównoważone ze stratami gospodarzami, jakie poniosła wieś polska wskutek bezpośrednich działań wojennych, zwłaszcza w pasach przyfrontowych, dalej przez kolosalne ofiary w pogłowiu byłymym na obszarze całego kraju, oraz wskutek przemarszów armii zwyciężonych i zwyciężskich przez tereny polskie.

W rezultacie działań wojennych i rabunkowej gospodarki bankrutowanych militarnie Niemców wysła wieś polska w okresie okupacyjnym i wessła w prógi wolności przeciętnie bardziej zubożała, choć bezwzględnie więcej uświadomiona gospodarzo. Wielu chłopów otarło się o szroki świat, wielu wpręgiło się w akcję przygotowawczą postępu gospodarzego wsi, wielu wreszcie zajęło się handlem.

Nie bez znaczenia pozostała tu przede wszystkim ciężka i osobiście dla niejednego bolesna lekcja pogładowa, jakiej udzielił Niemcy wywożony do pracy w niemieckim rolnictwie chłopom polskim oraz tu na miejscu w t. zw. Gubernii Generalnej przy wzorowym zagospodarowywaniu niektórych obszarów dworskich lub większych (komasowanych) gospodarstw na terenach przyłączonych do Rzeszy.

Nadto pewne zdobycze codziennego komfortu stały się już na stałe własnością najmniejszych wsi, nie dotkniętych bezpośrednio działaniami wojennymi.

Ponieważ jednak wzrost stopy życiowej chłopiejskiej uwarunkowany jest ściśle pomyślnym dla wsi rozwojem stosunków gospodarczych a tych — mimo niewątpliwie dodatnich skutków reformy rolnej i poczynań organizacyj społeczno-gospodarczych ze Związkiem Samopomocy Chłopiejskiej na czele, — wskutek wiekowych zaniedbań nie dał się w krótkim czasie radykalnie zmienić na lepsze, więc też i drugie z powołanych na wstępie pseudoautorytatywnych twierdzeń, jakoby chłop żył dziś w dobrobycie, nie znajduje jeszcze w rzeczywistości wiejskiej pełnego uzasadnienia. Jeszcze dziś stosunek wartości plodów rolnych do cen artykułów przemysłowych nie zawiera specjalnej premii dla chłopiejskiego, a nawet na kilku odcinkach dysproporcje cen (rozwarcie nożyc) na niekorzyść wsi występują wyraźnie. W szczególności przemysł skórzany, tak ważny w gospodarstwie życia wsi (buty, uprzęż), produkuje dziś w przeliczeniu na wytwory plodów rolnych znacznie drożej, niż przed wojną. Chłop rozumie, że powodem tego stanu rzeczy są ogromne zniszczenia wojenne i brak niektórych surowców, ale pragnie i oczekuje zmiany na lepsze. Dziś mimo hasła „przemysł dla wsi“ jedynie bogatszy chłop, czyli ten szczęśliwiec, który jest w stanie dość dużo produkować na zbyt, uzyskuje za wy-

twory swej ciężkiej pracy cenę, która pozwala mu może na stopniowe i powolne wyrównywanie ubytków inwentarza żywego i martwego, niekiedy na luksus doprowadzenia elektryki do domu i na zaspakajanie niezbędnych potrzeb, ale i temu nie pozwala na poważniejsze inwestycje w gospodarstwie rolnym, na wyższy poziom życia lub na lepsze warunki osobistego bytu. Sprawy kultury wsi pozostawiam na boku, wdrażam jedynie uwagę, że i te kształtują się w ścisłej zależności od warunków gospodarczych wsi i odwrotnie.

Dlatego dziś chłop — poza małymi wyjątkami — jeszcze żyje i mieszka nadal w opłakanych warunkach a spożycie w jego gospodarstwie domowym nie wiele odbiega od opisanego, jako charakterystyczne dla okresu międzywojennego. Jedynie postępująca elektryfikacja i radiofonizacja wsi stanowią jasniejszą perspektywę w dzisiejszym układzie stosunków gospodarczych na wsi.

Wprawdzie przez podział gruntów dworskich wzrosła przeciętna samożoność wsi a wskutek zdobycia dla osadnictwa wiejskiego słowiańskich obszarów na Ziemiach Odwyskanych zmalało zmorowate bezrobocie na wsi, to jednak — mimo wszystko — zaniedbania i potrzeby wsi na odcinku kultury materialnej są tak ogromne, że zbędne ziarno, pasza, nabiał i w ogóle wytwory pracy chłopiejskiej — nieraz jakże potrzebne w gospodarstwie chłopiejskim — muszą iść na rynek a kromka czarnego chleba z masłem lub jajko będą jeszcze dość długo stanowić premię dla chłopiejskiego dziecka za jego pilność w nauce, lub za bardziej realną i efektywną jego pomoc w gospodarstwie domowym.

Jestem pewny, że pod tym względem steimy na szarym końcu wśród narodów Europy a zawdzięczamy ten stan rzeczy w dużej mierze własnej niezaradności i obojętności odpowiedzialnych za postępek ekonomiczny wsi czynników rządzących Polską w okresie międzywojennym.

Odrobienie tych wszystkich zaniedbań jest dziś jednym z naczelnych zadań Państwa, wspomaganego przez świadome swego celu i swych ogromnych zadań społeczno-gospodarczo organizacje wiejskie z Samopomocą Chłopiejską na czele, która już dziś poszczycić się może ogromnymi sukcesami na drodze postępu gospodarczego wsi.

Dalsze poczynania w tym kierunku muszą iść różnymi drogami a pierwszy etap stanowić winna planowa i solidna rozbudowa spółdzielczości oraz organizacja wymiany artykułów przemysłowych na wsi. Eliminując ze wsi kosztowne pośrednictwo handlowe tym samym obniżymy cenę wytworów przemysłowych i ew. przy pomocy rozumnej polityki interwencyjnej — utrzymamy na odpowiednim poziomie ceny plodów rolnych. Dalej należy przystąpić do budowy przemysłu przetwórczego i rozładowania w ten sposób bezrobocia na wsi, gdyż ani osadnictwo zachodnie, ani też przemysł i rzemiosło w mieście nie wchłoną zbyt szybko nieproduktywnej dziś nadwyżki ludności ze wsi.

Specjalnie wysiłki należy poświęcić wreszcie sprawie komasacji gruntów wiejskich oraz zagadnieniom podniesienia kultury rolnej i większego wydobycia z gruntu chłopiejskiego. Wreszcie przez elektryfikację oraz licznějších ośrodków wiejskich należy stwarzać ramy i warunki częściowego uprzemysłowienia wsi. Praktyczne przeprowadzenie tych założeń w niedługim czasie winno przynieść opłacalność rolnictwa i zachęcić do większych inwestycji w rolnictwie a przez zwiększenie wytwórczości rolnej — po całkowitym nasyceniu zapotrzebowania wewnętrznego na wyższym od dzisiejszego poziomie — stworzyć ramy polskiego eksportu rolnego. Prawda, że realizacja tego zakrojonego na miarę pokoleń dzieła, uzależniona jest od odpowiednich a dziś niewystarczających jeszcze podstaw finansowych, od odpowiednich kredytów wewnętrznych i pożyczek zagranicznych.

Dużo jednak zależy również od samych chłopów. Nie ulega wątpliwości, że tylko ich zrozumienie dla tych poczyni, a przede wszystkim ich szczere i lojalne współdziałanie z czynnikami powołanymi do odbudowy gospodarczy wsi, przyspieszy osiągnięcie wytkniętego celu, jakim jest podniesienie stopy życiowej chłopiejskiej na wyższy niż dotąd poziom. Nie ulega przy tym wątpliwości, że podźwignięty z dzisiejszej nędzy do ludzkich warunków bytu, chłop polski wykaże należyte zrozumienie dla przejawów kultury narodowej, stanie się jej konsumentem a także weźmie udział w twórczych procesach Narodu na wszystkich odcinkach działalności Państwa.

Edmund Całka

R A N E K

W gałęziach sadu słońca trzepocą poranne.

gdy w oczach dzień roznoszą w pole idące panny.

Liście płoną, spadając. W zwichrzonej kurzwie

Ktoś obłoki porywa i układa w stawie.

Domy idą w niebo ścieżkami dymów,

ku pracującym w polu zapachy śniadania płyną.

Zygmunt Jakimiak

OD PASENIA KRÓW DO CHESTERTONA*)

Stary Noe hodował strusie, na górze jego sadyba,
Jadł jaja warzachwią z kieliszka, od kubła większego chyba,
Na zakup gotował słonia, na rybkę brał wieloryba,
Ale wszystko to małe przy loszku, jaki wziął do arki bezszybej.

I Noe mawiał żonie często w obiadku godzinie:

„Nie dbam wcale o wodę, byle nie było jaj w winie“.

Wodospady niebieskich skał spadły naoslep z krawędzi,
Jakby zmyć chciały z nieba gwiazdy w szalonym rozpędzie;
Siedem nieb do piekielnych gardzieli zbiegło pić sycząc jakby
w obłędzie.

A Noe zerknął i rzekł: „coś mi się zdaje — deszcz będzie.

Już woda zakryła Alpy jakby w najgłębszej kotlinie...

Lecz nie dbam wcale o wodę, byle nie było jaj w winie!“.

Lecz Noe zgrzeszył i myśmy zgrzeszyli: i nasza pijana noga

Ściągnęła nam abstynenta za karę i pokutę, przestrożę!...

I nie masz wina w P. M. S., ni w karczmy gościnnych progach,

Bo przyszedł z powrotem kurs wody z powodu gniewu Boga,

Dziś woda jest w szklance biskupa i w niedowiarka tysinie...

Lecz nie dbam wcale o wodę, byle nie było jaj w winie.

Czy wiersz taki nie zachwyci zarówno pastucha jak i profesora anglistyki? Pastuchowi uderzy do głowy jego fantastyczna placka wesolość, a profesor zachwyci się formą: sekstyna wykwintniejsza niż u Słowackiego, ale heksametr! — niczym u Wergiliusza, który, nawet bity przez ojca, kłął:

Parce mi pater, iam numquam carmina dicam!

Wiersz ten, to „Wino i woda“ z „Latającej Gospody“ G. K. Chestertona w moim naprawdę niedoleżnym przekładzie. Skąd chłopu do Chestertona? Skąd było Kasprowiczowi do Coleridge'a, Byrona, Ibsena? Ba, Ajschylosa? Co wolno kujawiakowi, to chyba wolno i podlasiakowi. Myślę, że nasi wielcy nie potę byli wielkimi, by nam do wielkości drogę zagrozić, ale raczej po to, by ją nam ukazywać i zachęcać. Czy się uda, to inna rzecz. Ale szczególnie dzisiaj, obowiązkiem chłopu jest być wielkim, bo przychodzi na niego obowiązek nie tylko żywienia, odziewania, i obrońcy całego narodu, ale i kierowania jego losami. Dziś chłop ma być mężem stanu, artystą, politykiem i filozofem, lepszym niż ci, co odeszli, by lepiej, niż oni pokierować Polską.

Ale Chesterton nie był pierwszym, który mnie porwał. Pierwszą książką, jaką przeczytałem, były „Takie sobie bajeczki“ (Just so stories), innego Anglika, Kiplinga. Pamiętam ten dzień, jak dziś i będę go chyba pamiętał i w godzinie śmierci. Miałem wtedy lat 6 czy 7, a już umiałem czytać, bo starszy brat musiał mnie nauczyć. Czego taki berbeć nie dokaże, jak się uprze? A co taki fałd rozumiał o wojnie? Cieszył się, że może z żołdatami ruskimi chodzić po sadach i obijać gruszeki dziwiąc się tylko, że srogi właściciel — sąsiad nic na to nie mówi — nie parzy pokrzywą. A zaraz po tym podziwiał piket-haubę „huzarów śmierci“. Otóż w taki piękny dzień sierpniowy udałem się do „pani“ tj. nauczycielki, która miała bibliotekę — nasza wioska — Rzeszotków — była b. postępową, czytała „Zaranie“ i miała szkołę. Wybrałem sobie wspomnianą książkę, udałem się na bliską łączkę i czytałem, czytałem...

Cóż to była za radość! Nieboszczyk Kipling, mimo całego prawdopodobnie niemałego poczucia własnej wartości, nigdy chyba nie przypuszcza, ile dobrego sprawił w całym świecie. „Kot, który chodził własnymi drogami“... „Stoniątko czyli dlaczego słoń ma trąbę“, „Dlaczego tygrys ma pręgi“, „Dlaczego nosorożec ma fałdy“, „Jak powstał pierwszy list“ — nie czytałem tego po raz wtóry, a po trzydziestu latach pamiętam każdą opowieść szczegółowo. Tak, to było przeżycie, które chyba przesądziło o mych sympatiach dla Anglików.

Mój ojciec był patriotą. Steniewicz, Trylogia — to było jego przeżycie. Zawsze mówił, że gdyby się uczył, to by został

*) W części drugiej redakcja uważa artykuł za dyskusyjny.

adwokatem. A ponieważ był nieuczony, był tylko — ławnikiem, co go zmuszało chodzić plechotą czasem po 10 i więcej km na posiedzenie sądu gminnego. I przyjaźnił się z nauczycielem szkółki parafialnej, który mu ostatecznie zostawił w spadku kilka książek m. in. Trylogię. Tak, dawniejszy nauczyciel ludowy był inny jakiś niż dzisiejszy. Chciał się przyjaźnić prawdziwie z chłopem już dojrzałym, nie dzieckiem — i tę przyjaźń utrzymywać długie lata po wyjeździe ze wsi, faktycznie aż do śmierci. Przyjaciół mego ojca był warszawiakiem, tak. Ojciec często do niego jeździł z wizytami, a potem opowiadał cuda, jak to rodzina p. Lisieckiego przyjmowała go jak brata, na jakiej niesłychanej pościeli sypiał, jakie niestworzone potrawy jadł. Niesłychana przyjaźń. Co?

Ileż ten inteligent warszawski, pewnie jakiś idealistyczny marzyciel, pogrobowiec romantyzmu, czy socjalista, bo to wtedy było prawie to samo, ile on dał ciemnemu chłopu swą przyjaźnią, to pewnie ani on, ani ojciec w pełni nie oceniali. Dał mu życie umysłowe; w ogóle duchowe, oświecił, pokazał, co dobre i piękne, wzmógł poczucie własnej godności i pragnienie pięćcia się do góry... Kto wie, czy nie jego zasługę przypisać fakt, że ojciec trojgu swym dzieciom dał najwyższe wykształcenie, jakie w kraju, a nawet zagranicą można otrzymać.

Dał? Dał, co mógł, dzieci zrobiły, co mogły, dobrzy ludzie pomogli, jak mogli — Pan Bóg pokterował jakoś... Dość, że chciał i dał.

Ale zacznijmy od początku. Ojciec był synem bogatego chłopu, lecz nie jedynakiem, tylko siódmym, czy szóstym, w każdym razie najmłodszym. I tak wyszło, że po śmierci rodziców zostało mu siedem i pół morga gołego pola. Bez budynków, ani inwentarza. Umierając zaś zostawił trzy gospodarstwa dostające z budynkami i inwentarzem, mimo dwóch zupełnych spaleń i trzech wojen... Oprócz wykształconych dzieci. A wszystko to najuczciwiej, obok pracy politycznej, oświatowej, społecznej przy dużym zainteresowaniu do historii i literatury.

Oczywiście sam by tego nie dokonał. Miał odpowiednią żonę, której ja jestem dziewiątym dzieckiem. Biedna kobieta musiała zrobić w polu, oborze, chlewie, przy kurach, w ogrodzie, w domu, przy dzieciach. A jeszcze nieraz i do Częstochowy poleciała na piechotę. Jakżeby inaczej wychowała dobrze dzieci, wykształciła, zapatrzyła, poeniła? Bo już spacer 15 km do Siedlec na targ z koszem nabiału, czy drobiu na plecach, prawie co tydzień, to normalny drobniaczek, o którym nie warto wspominać. Umiała i ona czytać, ale tylko drukowane. Pisać i pisanego czytać nigdy nie umiała. Ale czytała b. dużo, przeważnie jednak książek religijnych. Kiedyś w dzieciństwie czytała biblię, zapewne rozpowszechnioną przez jakichś ówczesnych badaczy. Wszelako na rozkaz proboszcza dziadek spalił ją uroczyście i matka wspominała tę chwilę ze zgrozą.

Ale pociąg do historii świętej i do teologii pozostał jej na całe życie. I nie wiem, czy wielu teologów przetrasta ją gruntownością ujęcia problemów i wnikliwością. Tak, matka była umysłem niezwykle jasnym, głębokim i żarliwym, w czym przewyższała ojca, któremu jednak ustępowała w dowcipie.

Myślę, że my, chłopcy synowie w większości wypadków zawdzięczamy więcej matkom, niż ojcom, bo matki więcej cierpiały i pracowały. I pociąg do Chestertona usprawiedliwiam u siebie dziedzictwem. Bo zarówno ojciec, jak matka byli to ludzie przekorni. Pogardzając wszelką banalnością, w każdej rzeczy i problemie dostrzegali oni strony nowe, przez innych niedostrzeżone. Skąd mowy nie było o zgodzie nie tylko z sąsiadami, ale i między nimi. Oczywiście o zgodzie w dyskusji, bo w uczynności sąsiedzkiej byli tymi dumnymi chłopami, co wiele robili „na tłu-kę“ (tak się to u nas nazywało). I zawsze więcej ludziom pomogli, niż ludzie im.

A poza rodzicami było w mojej wsi pełno Chestertonów. Gdy wspomnę „starych chłopów“ z mego dzieciństwa, to podziw mnie ogarnia, ile tam było indywidualności, tak oryginalnych, że często posuniętych do dziwactwa prawie. I przemawiali tak, jak bohaterowie Chestertona: każdy z gniewem i przekonywująco, a każdy inaczej o tej samej rzeczy. Może wspomnienia wpływają na pewną przesadę, ale nie mogę się oirząsnąć z wrażenia, że odkąd poznałem życie miejskie, a poznałem je od 11-go roku życia, to było ono i jest znacznie bledsze, uboższe i bardziej banalne od życia wiejskiego. Nawet inteligencja nie ma indywidualności. Są ludzie przeciętni, są typy. Oryginalność można spotkać dopiero gdzieś u jakiegoś profesora uniwersytetu, czy między wybitnymi rzemieślnikami, ale i tu znacznie rzadziej niż na wsi. Przynajmniej w mojej dawnej wsi.

Wies ta była postępową, jak rzekłem. Czytano głośno książki, dawano przedstawienia, układano poezje. Mój stryj był uzdolnionym poetą, a jako wielki oryginał był też jednym z ciekawszych przedmiotów poezji młodszych twórców. Młodzież się pięknie zabawiała, a nigdzie chyba tak dzieci nie umiały się bawić, jak moi rówieśnicy.

Tak rozwijając się bez gorączki, a stale i pewnie, współzyskując z naturą, bez nadmiaru towarzyskiego, nic dziwnego, że chłop wyrastał przeważnie na większego oryginała, większą i zdrowszą indywidualność niż przeciętny mieszczanin.

Tylko z punktu widzenia estetyki, o ile traktować indywidualność jako dzieło sztuki,

ki, mogę powiedzieć, że chłopci z mego otoczenia mieli bardzo silny wyraz, ale trochę za słabą formę. Bogactwo ich nie było świadomie uformowane, oprawione, ułożone, tak, by nie tylko wywierało silne wrażenie ale i pociągało pięknem.

Cóż więc dziwnego, że czytając początkowo w nielubianych przekładach książki Kiplinga, Dickensa, Wells'a, po tym zaś Wilde'a i wreszcie Chestertona, byłem urzeczony nie tylko ich oryginalnością, podobną do chłopskiej, ale i formą, w jaką tamta była ubrana, dotychczas mi nieznaną. Oprócz zaś formy podobały mi się u Anglików inne jeszcze, rzadkie u nas zalety, tak cenne: czystość, intelektualizm, dowcip i humor, szerokie zainteresowania, fantazja, szczerść itd. Są to wszystko zalety chłopskie. Chłop angielski, który dziś prawie nie istnieje, dzięki powyższym właściwościom, zdobył, można powiedzieć świat. Cóż bez chłopca znaczący dyplomacja, polityka, imperializm? Jaka byłaby flota wojenna, handlowa, która jest całą siłą Anglii? To chłop angielski zaludnił Amerykę Północną i Kanadę, Australię, Nową Zelandię i Afrykę Północną. Zaludnił swą rozrodczością, uprawił pracowitością, uprzemysłowił pomysłowością, odwagą i ryzykiem, wywalczył niepodległość.

I ten chłop zostawił w literaturze swego narodu cechy swego charakteru, który jest podobny u wszystkich chłopów Europy. U nas w Polsce, cechy te nie przedostały się w takim stopniu do literatury, dlatego, że chłop nie był uznany za coś wartościowego. Czy i uszy naszej inteligencji zwrócone były więcej na zewnątrz niż wewnątrz. Patrzyły za nowinkami. Bo gdyby jeszcze patrzyły na chłopca francuskiego, czy angielskiego, lub holenderskiego... Jeden był wyjątkiem — Prus — który i oceniał chłopca należycie i rozumiał. Ale naśladowców nie miał.

Wydaje mi się, że dlatego właśnie naród angielski jest silny, że jest wewnętrznie zgodny w kontynuowaniu dzieła swych przodków chłopskich. Jeśli jest w czym słaby, to dlatego, że jest niewierny swej spuściznie duchowej. Każdy Anglik jest dumny ze swej tradycji. A Polak — na ogół się wstydził i chciałby na wsi wszystko zmienić: ubiór, obyczaj, mowę, umysłowość.

Tymczasem zawsze miałem inne zdanie. Ojcowie nasi chcieli dobrze, mieli piękne i dobre obyczaje, a my winniśmy im wierność. Co nam zostawili, to trzeba szanować, nie przepić lub przegrać w karty, bo potem trudno się dorobić. Nie można lekomyślnie, bez zastanowienia odrzucać tradycji naszej, ale zbadać, czy przypadkiem, nie możemy się z niej odrodzić.

OGŁOSZENIE

INSTYTUT NAUKI I OŚWIATY ROLNICZEJ przy ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ — Warszawa, Pl. Starynkiewicza 7/9, konto P.K.O. Nr I-1564 poleca swoje najnowsze wydawnictwa rolnicze:

„BIBLIOTEKA SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ“

Nr 2	Inż. St. Zaliwski — „Krzewy owocowe“	str. 64; cena zł 25,—
Nr 7	Doc. dr A. Listowski — „Ziemniaki“	str. 40; cena zł 20,—
Nr 9	Prof. dr. Z. Pietruszczyński — „Lucerna“	str. 40; cena zł 25,—
Nr 10	Prof. Andrzej Mering — „Jak przetwarzać owoce i warzywa na użytek własny“	str. 72; cena zł 30,—
Nr 11	Inż. Z. Dubiska i dr J. Dubiski — „Gospodarski chów kur“	str. 66; cena zł 30,—
Nr 12	Dr J. Kielanowski — „Chów świń“	str. 52; cena zł 30,—
Nr 13	Prof. dr M. Górski — „Nawozy i nawożenie“	str. 100; cena zł 60,—
Nr 14	Prof. dr B. Świętochowski — „Poradnik Osadnika śląskiego“ część I — „Uprawa roli i roślin“	str. 128; cena zł 70,—

„ZAGADNIENIA ROLNICZE“

Nr 6	Prof. dr J. Kochman — „Choroby wirusowe ziemniaków“	str. 20; cena zł 20,—
Nr 10	Mgr J. Pieniżek — „Sok pomidorowy“	str. 16; cena zł 15,—
Nr 11	Prof. dr E. Chroboczek — „Zagadnienie produkcji i przetwórstwa warzyw w chwili obecnej“	str. 44; cena zł 20,—

„BIBLIOTEKA WIEDZY ROLNICZEJ“

Prof. dr M. Górski — „Nawozy organiczne“	str. 192; cena zł 150,—
Komplet za 1946 r. miesięcznika „Chłopska Gospodarka“ — 12 numerów wraz z spisem treści	cena zł 80,—
„Rocznik Gospodarski“ na rok 1947	str. 300; cena zł 120,—
Prenumerata roczna dwutygodnika „Chłopska Gospodarka“ ok. 600 stron druku — wynosi	zł 160,—
Prenumerata półroczna dwutygodnika „Chłopska Gospodarka“ wynosi	zł 90,—

JAKIEJ POWIEŚCI CHCE DZISIEJSZA WIEŚ?

(Wypowiedzi uczestników konkursu)

Bieniek Józef (Librantowa – Nowy Sącz):

Wydaje mi się, że w tytule konkursu kryje się lekkie nieporozumienie. Gdybyśmy się bowiem chcieli oprzeć tylko na tym, czego szeroki ogół ząbkujących czytelników chce — doszlibyśmy do smutnych wniosków. Czytając wieś, poza pewnymi wyjątkami, nie doszła jeszcze do takiego stopnia świadomości by mogła jasno, a pozytywnie sprecyzować pod adresem twórców literatury takie postulaty, których sens byłby wykładnikiem duchowych i umysłowych potrzeb dzisiejszej wsi. Miarodajne w tym wypadku mogą być tylko opinie działaczy społecznych i przodowników oświatowo kulturalno wychowawczych, względnie wybitnie inteligentnych książkożerców, zorientowanych w sytuacji i mających poczucie odpowiedzialności za rzucone słowo.

Nie mam pretensji do wyżej zdefiniowanego typu chłopca, ponieważ jednak już od dziesiątego roku życia poprzez prowadzenie biblioteki szkolnej, później T. S. L. u, a wreszcie swojej własnej bezustannie param się z książką, przeto siłą faktu zagadnienie stanowiące istotę konkursu jest mi bardzo bliskie i dosyć przejryste. Z doświadczenia więc wiem, że najgorzej na wsi idą książki najbardziej chłopu potrzebne — z zakresu wiedzy fachowej: rolnicze, zaś najchętniej brane są: egzotyka, wojna, podróże i kryminalistyka. Nie znaczy to jednak, żeby na półki wiejskiej biblioteki dawać tylko to, czego nie wyrobiony czytelnik żąda, o co prosi.

Książka na wsi nie może być traktowana po miejsku — jako cukierek, którego spożycie daje moment fizycznej przyjemności, nie sycając głodu, nie wzmacniając organizmu. Książka musi jak desant wpaść w ciasne kręgi uczuć i pojęć — być partyzancką dywersją długo, wytrwale, aż do skutku zwalczając wraże siły zła, ciemnoty, podłości i apatii okupujące życie gromady chłopskiej. Od siły ideowej, moralnej i dydaktycznej skoncentrowanej w operującej dany odcinek książki, od kształtu, mocy, wymowy i zdolności oddziaływania występujących w niej elementów — zależy czy akcja osiągnie pozytywne rezultaty, czy obcując z czytelnikiem za płodni umysł jego lub serce owocem dobrego, czy w wielkim boju społeczności chłopskiej o światło, godność i dobro stanie się czynnikiem decydującym o zwycięstwie. O to przecież tylko chodzi. Taką więc książkową armię partyzancką zmobilizować trzeba i puścić na wieś bez względu na to, czy ona zdaje sobie już sprawę z jej wartości i potrzeby, czy też nie.

Wypożyczając w Czytelni T. S. L. książki przeprowadziłem przez zimę 1938 r. małą ankietę na temat szczególnie się narzucającej uwadze czytelnika książki, oraz dokładne obliczenia dotyczące obrotu poszczególnych książek. Mam wrażenie, że nie od rzeczy będzie w odpowiedzi konkursowej wykorzystać uzyskane dane.

Ankieta miała trzy pytania:

Co w czytanej książce podobało mi się najbardziej — która postać, które zdarzenie i dlaczego?

Do której z postaci występujących w książce chciałbym się upodobnić i dlaczego?

Czy są podobieństwa w sprawach i ludziach opisywanych w książce z życiem jakie nas otacza i jakie?

Z szesnastu czytelników (chłopcy i dziewczęta po czwartej powszechniej w wieku 14 do 30 lat), którzy stanęli do ankietowego konkursu, z zadania wywiązało się jedenastu. Oto kilka wyjątków z bardziej godnych uwagi wypowiedzi:

Z wielu przeczytanych książek najbardziej podobały mi się dzieła Orkana — nie żeby były specjalnie ładne, ale dlatego, że autor trapi się o los chłopca i o inne życie wsi. Ten sam czytelnik, 20-letni chłopak za „specjalnie ładne” uważał książki Fiedlera, Bakstera, Zane Grey i Londona.

Inny po przeczytaniu „Sobola i Panny” Weysenhoffa tak pisze: „Nie lubię książek, których połowę zajmują opisy przyrody. Ja się drzewom i słońcu napatrzę codziennie i to mi wystarczy. W książce szukam inności — przygód, wielkich zdarzeń, bitew i dalekiego świata. Podoba mi się

takie książki jak „Strzępy Epopei” Wańkowicza, „W polu” Rambeka, Trylogia Sienkiewicza, „Carski kurier” Werne’a.

O Rodziewiczównie pisze 18-letnia dziewczyna: Wszystkie książki Rodziewiczówny podobają mi „straśliwie” bo jest w nich dużo dobroci, miłości i wiary. Ale ciekawiej od Rodziewiczówny pisze Mniszkówna — „kiedy przeczytałam „Trędowatą” przez dwie godziny bucałam jak cielicka”.

Chłopak o żyłce społecznika pisze tak: Z kilkunastu przeczytanych książek najbardziej podobały mi się Żeromskiego „Popioły” i „Ludzie bezdomni”, a w nich dr. Judym. Chciałbym tak jak i on rozwalić te śmierdzące nędzą i głupotą budy, w których chłopci gnoją swoje życie, chciałbym, aby na ich miejscu stanęły wielkie budynki pełne światła i dobrobytu.

Duże uznanie wśród ankietowców zdobyła sobie powieść pamiętnik szwedzkiego lekarza Aksela Munthe, w której na każdej kartce tyle dobroci co w ewangelii, za jej uśmiechnięty styl, żartobliwy, a dziwne prosty i trafny sposób określania ludzi, za rzadko spotykaną miłość człowieka, zwierząt i natury.

Cztery wypowiedzi były prawie identyczne: Lubię tylko takie książki, które piszą o Sybirze, Azji, Afryce, o wojnach i przygodach. Moimi autorami są: Ossendowski, Marcyński, Kipling, Fiedler i Grey Owl (Szara Sowa).

Jest rzeczą charakterystyczną, że na jedenaście wypracowań zaledwie jedno zwróciło uwagę na piękne opisy przyrody. Reszta nie żeby nie dostrzegła tej strony powieści, ale poprostu skwapliwie pomijała każdy ustęp poświęcony naturze goniąc za elementami akcji, ruchu, zdarzeń.

W setkach rozmów o książkach stwierdzić zdołałem, że chłopcy na ogół opisów natury, choćby najpiękniejszych, nie lubią. Zżyli się z nią głęboko i opatrzli, jest jednym z codziennych rekwizytów znojnego życia — kochają ją, gdy im sprzyja. Są oni niby stary lekarz — operujący młodą i piękną kobietę — jej wspaniałe ciało nie budzi w nim ani zachwyty ani żądzy — jest całkowicie pochłonięty troską o udany wynik swej pracy.

Ciekawe też są porównania pewnych książek, lub czyjejsz twórczości z ludźmi i rzeczami. Więc o jednej z książek Courts-Mahlerowej mówi formal ze dworu: Taka ta książka, jak nasza młoda dziedziczka — piękny pyszczek, wspaniała suknia, dobre perfumy, ale we łbie trociny, a w sercu lajno. Nie jedną noc z parobkami prześpała.

O Wiktorze inny chłop: Książki Wiktora przypominają mi naszą nauczycielkę — takie to ładne, cichutkie i skromne, a niebą by chłopu przychylić rade. O sprawy wsi troszczy się jak o swoje szczęście, a jak do człowieka przemówi, to kiejbyś miodu liźnął — tyło w niej dobroci i słodyczy.

Przypadkiem kiedyś zaplątała się do wsi powieść Mostowicza „Drugie życie dr. Murka”. Dziewczyna, która książkę wypożyczyła w mieście nie miała dosyć słów zachwyty: cudna, ale to precudna książka, podczas gdy więcej czytany chłopak tak ją definiuje: Jest to poprostu klozet inteligentnego światka posiadający kryształowy i pięknie wykonany zlew, pełen jednakże gnoju, w którym autor z rozkoszą grzebie.

Jeśli chodzi o czysto estetyczną stronę zagadnienia to stwierdzić wypadnie, że na ogół artystyczna głębia dzieła, subtelności stylistyczne, forma pełna finezji i wdzięku nie stanowią w pojęciu przeciętnego czytelnika o istotnej wartości danego dzieła — są to znamiona raczej odczuwalne niż dostrzegalne, które uważa się za momenty czysto dekoracyjne i ozdobne. Gdy zwróciłem moim konkursistom uwagę na szczególnie piękną oprawę językową książek Prusa, Reymonta czy Szolochowa — odpowiedział mi jeden mądrała: gruntu to treść, bo książka jest jak człowiek — do bry, lub zły, albo nijaki. I nie suknią go zdoła, lecz on suknię. Gdy dziewczyna piękna w najskromniejszym stroju budzić

będzie zachwyty i czar — paskudzie jedwabie nie pomogą.

Zaznaczyć należy, że konkursiści moi to w mniejszym lub większym stopniu samoucy, którzy czytali po kilkadziesiąt a nawet po kilkaset książek, stąd ich zdolność do samodzielnego określania i krytycznego stosunku do spostrzeganych zjawisk.

A teraz o statystyce ruchu książek. W ciągu miesięcy zimowych I.XII — 31.III. 45 czytelników wypożyczyło ogółem 816 tomów. Wypożyczalnie urządziłem przy sklepiku, czytelnicy mogli wymieniać książki codziennie i w każdej chwili, co niewątpliwie dodatnio wpływało na szybkość obrotu poszczególnych dzieł. Ogółem czytelnia posiadała 200 tomów, skompletowanych starannie o dosyć wysokim poziomie.

Najwyższą cyfrę wypożyczeń od 30 do 40-tu osiągnęły: „Trylogia” i „Krzyżacy” Sienkiewicza, trzy powieści podróżnicze Ossendowskiego, „Popioły” Żeromskiego, Remarqua „Na zachodzie bez zmian”, „Serce za tamą” Morcinka, i tegoż „Wyraźny chodnik”, „W polu” Rambeka, „Żywoty męczenników” Duhamela, „Las wisielców” Liwii Rebreanu, „Zielona kadra” Kossowskiego, „Wyspa skarbów” Stevensona i Londona „Przygody w Zatoce San Francisco”, „Miłość życia” i „Prawo białego człowieka”.

W drugiej grupie wypożyczeń od 20 do 30-tu znalazły się: Kiplinga „Kim”, Aksela Munthe „Księga z San Michele”, Orkana „Pomór”, „Komornicy” i „Drzewiej”, Finka „Jestem głodny”, Fiedlera „Jutro na Madagaskar” i „Kanada pachnąca żywicą”, Żeromskiego „Wierna rzeka”, Sieroszewskiego „Ze świata”, Rodziewiczówny „Dewajtis”, „Pożary i zgliszcz”, Prusa „Placówka” i „Faraon”, Blasko Ibanza „Meksyk” i „Czterech jeźdźców Apokalipsy”, Mostowicza „Znachor”, Grey Owla „Szara Sowa”, Lepeckiego „Sybir wspomnień” i „Sybir bez przekleństw”, Szolochowa „Zorany ugor”, trzy powieści Wańkowicza z czasów rewolucji rosyjskiej, Andrzejewskiego „Ład serca”, Nowakowskiego „Kucharz doskonały”, z „Geografią serdeczną”, Wiktora „Orka na ugorze”, „Tęcza nad sercem” i „Wierzy nad Sekwaną”.

Od 10 do 20 razy pożyczono: Żeromskiego „Ludzie bezdomni”, Kossak Szczuckiej „Krzyżowcy”, Rodziewiczówny „Szary proch”, „Straszny dziadunio”, „Wrzos”, Cervantesa „Don Kiszot”, Tołstoja „Wojna i pokój”, Hamsuna „Głód” i „Wiółczygi północy”, M. Ostensa „Pole kamieni”, Kurka „Grypa szaleje w Naprawie”, Londona „Wilk morski” i „Odszczepienie”, W. Hugo „Nędznicy” i Reymonta „Chłopi”.

Najmniej, bo od 1 do 10 pobrano: „Listy ze wsi” Orkana, „Pamiętniki włościanina” Słomki, „Żywot chłopca działacza” Magrysia, „Pan Tadeusz”, „Ojciec zadumionych”, cztery powieści historyczne Kraszewskiego, „Matka” Sewera, i Nałkowskiej „Dom kobiet” (1 raz).

Z dziesięciu książek traktujących o rolnictwie trzy pożyczono po dwa razy, reszta siedziała w dziewiczym stanie. Raz tylko zdarzyło mi się, że zamiłowany pszczelarz i inny miłośnik koni poprosili o podręczniki chowu koni i pęgnacji pszczół.

Typem twórczości uznanej i głośniejszej, a przecież na wsi nie mającej najmniejszego „hycu”, to powieści Nałkowskiej, w których, jak powiadają chłopcy, ino się gada, mruga, uśmiecha i drzy, Zegadłowicza, w których się tylko gada, Perzyńskiego, Kleśczyńskiego, Grubińskiego, a z nowszych Szulca, Ważyka, Uniłowskiego itp.

A propos tych ostatnich to ciekawe, że chłop, którego życie jest jednym pasmem najsurowszego realizmu w opisach przeładowanych ową „surową prawdą życia” grzebać się nie lubi. Naprz. o „Grypie w Naprawie” powiedział jeden z czytelników chłopów, że to wprawdzie książka o wsi, ale nie dla wsi. Chłopu nie pilno wieść do siebie co się dzieje w kiblu, na którym siedział se pani sędziana.

Istotną cechą dobrej powieści dla wsi będą aspekty natury moralnej, dydaktycznej i wychowawczej. Naczelną troską nowej literatury polskiej winno być stworzenie takiego typu powieści, któryby był zdolny do ciężkiej „Orki na ugorze” — do przeprowadzenia zwycięskiej walki o głęboką supremację w stosunkach między ludzkich Chrystusowego ideału miłości bliźniego, sprawiedliwości, mądrej dobroci i piękna. Zespolenie w takiej powieści pewnych charakterystycznych cech twórczości Orkana i Wiktora z Młodożencową pochwałą ziemi i trudu chłopskiego przy lekkości stylistycznej Nowakowskiego i Fiedlera, sięgnięcie do kapitalnych dzieł Szolochowa, Gorkiego, dałoby moim zdaniem wyniki znakomite, tworząc idealny typ powieści, którą pragnęca wieś przyjąć łaby z entuzjazmem.

Kiedy jesteśmy przy pisarzach sowieckich nie od rzeczy będzie dodać, że na pytanie jaką powinna być powieść dla wsi niezłą odpowiedź dałaby analiza historii rozwoju porewolucyjnej literatury ZSRR, względnie zbadanie stosunku, jaki zajęła ona odnośnie problemów wychowawczo-propagandowych. Można o Rosji mówić różnie — być jej sympatykiem lub nie, przyglądając się jednak sprawom tamtejszym nie sposób nie uznać wspaniałego rozkwitu i wysokiego poziomu jej literatury opartej o zgóry wykreślony kierunek ideologiczny.

Pomijając treść owego kierunku, — pragnąć by należało gorąco, aby drogi wsi polskiej ku zdobyciu wiedzy i dobrobytu rozświetlały setki latarni-książek o tak żarliwym blasku i tak mocno przekonywującym stosunku do tych zagadnień — jak to ma miejsce w Związku Radzieckim odnośnie komunizmu.

Reasumując i streszczając się stwierdzam, że wieś chce takiej powieści, która by przed chłopem odkrywała nowe przesłanie prawd, poznań i doznań, która by

SPÓŁDZIELNIA OWOCARSKO-WARZYWNICZA

SAMOPOMOC CHŁOPIJSKA

w Warszawie

tel. 8-72-88,

ul Koszykowa 65

WARZYWA — OWOCE — OGÓRKI KONSERWOWE

I PASTA POMIDOROWA W PUSZKACH.

ARTYKUŁY PRZEMYSŁOWE DLA WSI.



Na żądanie odbiór i dostawa własnym taborem.

przeświałała życie jego mądrą i żywą do-
brocią, któraby sięgała w głąb duszy zdra-
pując z niej skorupę głupoty, zła, zawiści,
apatii i małości — siejąc w ich miejsce do-
bry zapach, zdolność samodzielnego akty-
wizmu w myśli i czynie, czynny i życzliwy
stosunek do Ojczyzny, choćby kosztem
największych wyrzeczeń, obywatelski a
rzetelny stosunek względem władz, ustaw
i praw, umiłowanie ziemi i trudu z nią
związanego, czystości, wiedzy, prawdy i
piękna, któraby poprzez ukazywanie chłop-
skich wartości i zapoznawanie z pozytyw-
nymi momentami historii chłopskiej i jej
wkładu w dzieje narodu i państwa dźwiga-
ła wysoko jak sztandar poczucie godności i
osobistej i klasowej chłopa uwielając o-
sławiony i do dziś jeszcze gnący karki
chłopskie kompleks niższości.

Na opracowanie takich typów powieści
czekają setki tematów, a więc czasy Pia-
sta, Łokietka i jego związki z chłopami,
chłop-bohater z pod Wielkich Łuków, pie-
chota wybraniecka i łanowa, czasy „Poto-
pu” i udział chłopów w walkach z najezdź-
cami, Koska Napierski, lata 1831 i 63,
Kościuszko i dzieje jego chłopskiej armii,
bunt Szeli, te pierwsze pierzochy ruchów po-
lityczno-społecznych i wolnościowych na
wsi, tamta wojna światowa, rok 1920, o-
kres między tamtą i ostatnią wojną, wal-
ka z pilsudczyzną i sanacją, Brześć i Be-
reza, strajki chłopskie i wreszcie najbo-
gatszy, bo prawie w całości o wieś oparty
ruch wolnościowy lat 1939 — 45. Historie
partyzanckich oddziałów B. Ch., A. K. czy
A. L., martyrologia tysięcy chłopów w
płonących wioskach i osiedlach, po wię-
zieniach, obozach i placach straceń — oto
tematy do jakże fascynujących powieści,
czy reportaży.

Niemniej ważne i dobre byłyby powie-
ści dające przekrój wielkich zmagañ i
wielkich osiągnięć takich ludzi jak Słom-
ka, a specjalnie Magryś — historia prze-
miany Albigowej i Handziłówny z zacio-

ranych do izna nędzą wiosczyn na kwitną-
ce dobrobytem osiedla, dzieje rozwoju wsi
niemieckiej, duńskiej czy wogóle zachod-
nio europejskiej, powieści i reportaży z ży-
cia chłopów innych krajów Europy, Ame-
ryki czy Azji z uwypukleniem szczególnie
ważkich momentów w historii ich kultury
i gospodarczo społecznych przemian, po-
wieści i reportaże z życia wsi polskiej ze
specjalnym położeniem nacisku na pod-
stawowe przyczyny i elementy postępu,
ruchu i rozwoju — śmiało rzutowania na
przyszłość, plany gruntownej reorganizacji
gospodarki chłopskiej, odrodzenie duchow-
e i kulturalne wsi przedstawione w parze
z interesującą fabułą, pięknym i jasnym
stylem, czystą polszczyzną — oto moim
zdaniem cechy powieści jakiej może chcieć
wieś dzisiejsza.

Taka właśnie powieść winna zabić
w sensie masowym i powszechnym pod-
chłopskie strzechy, gdyż tylko taka zdol-
na będzie spełnić swoje gigantyczne po-
słannictwo, aby stać się witaminą dla u-
czuć i pojęć, szkicem, planem i podstawą
do przebudowy struktury moralnej, kul-
turalnej i gospodarczej wsi, drogowym ka-
zem kierującym falę wędrowców po zielo-
nych łożyskach wsi na właściwe szlaki
światłem widniącym drogi chłopskie, zło-
tym rogiem wołającym rzesze ku tworze-
niu jasnym czynów i pozytywnych zda-
rzeń, a wreszcie owocem, którego spożycie
daje chwilę dobrego zapomnienia i ciszy,
słodkiej rozkoszy duchowej, twórczej za-
dumy, czy gorzkiego bólu, w którym rodzi
się bunt, wola czynu i walki.

Na koniec mała dygresja: Ważne to za-
gadnienie jakiej powieści chce wieś, ileż je-
dnak ważniejsze jest to, jakimi drogami i
sposobami dać książkę wsi, szybko i gęsto.
Bo, zgodzić się z tym, że to co się na
froncie wydawniczym do dziś zdarzyło na-
pawa nie otucha, lecz przerażeniem.

Józef Bientek

Adolf Kotarba (Chrzanów, poczta Włochy):

Chcąc odpowiedzieć na pytanie: Jakiej po-
wieści pragnie wieś? — trzeba stwierdzić,
jakie książki czytała dotąd polska wieś. Nie-
zbyt pochlebne mam zdanie w tej materii.

Wieś czytała mało, przeważnie zima, na-
turalnie frekwencja czytelników była znacz-
niejsza na zachodzie, niż w pozostałych czę-
ściach kraju. Chłop o ile posiadał żyłkę czy-
tania, czytał dotąd to, co mu wpadło w rękę.

O zorganizowaniu czytelników ludowych nie
wiele wsi dotąd pomyślało, a i te gdy już
powstały, niejednokrotnie zakupywały książ-
ki okazynie, byle taniej, byle więcej, byle
obsłużyć mogły liczne rzesze amatorów czy-
tania, czy kształcenia się.

Początki każdej biblioteki gminnej, czy
wioskowej były prawie jednakowe, a więc
następowała zbiórka książek po domach
(wybrakowane, stare, zniszczone, nieraz bez
wielu kart). Urządzało się następnie skład-
kę pieniężną, lub częściej zabawę taneczną,
lub majówkę z przeznaczeniem czystego zys-
ku na zakup książek. Kupowało się więc
książki okazynie, książki stare z przed kilku
dziesięciu lat, nie patrząc na tytuły i nazwi-
ska autorów, byle książka była ładnie opra-
wiona, gruba i miała wszystkie kartki. To

był szczyt wymagań 90 proc. rodzimych bi-
bliotekarzy.

Nie można się im nawet dziwić. Nie znali
się na tym fachu, a ten ktoby mógł dora-
dzić „nie miał czasu”, lub nie chciał się
bawić w szerzyciela kultury. Książki radził
Żywoty Świętych, organista „Barbare
Ubryk”, nauczyciel — zależnie od zamilo-
wań i specjalności: historyk powieści histo-
ryczne Kraszewskiego czy Sienkiewicza, poe-
zie wieszczów i inne, cenne lecz i drogie
książki, nie dbając o Żeromskiego, Reymon-
ta, Prusa czy Orzeszkową lub Zapolską.
Drugi znów, zakochany w Balzaku radził
tylko jego dzieła. Przyrodnik popierał tylko
Maeterlincka. Jeden do Sasa, drugi do la-
sa... Dlatego też księgozbiory bibliotek gmin-
nych czy gromadzkich, względnie Kółek
wiejskich, przedstawiały się bardzo chaot-
ycznie.

Przeczytał ktoś jedną nudną i drugą nudną
książkę, to przestawał czytać. O książkach
fachowych rolniczych, uprawie roli, zbóż
czy okopowych, hodowli drobiu czy bydła,
w bibliotekach wiejskich często nie pomy-
ślano. Uważano, że sama praktyka wystar-
czy.

Dlatego też odpowiadając na pytanie,
stwierdzam, na podstawie praktyki żyło-
wej, że wieś potrzeba wiele i wielostronnych
książek i takich książek wieś polska wy-
gląda.

Od siebie przesyłam trzy prace konkurso-
we*). Być może, że pisarze, którzy otrzy-
mają je, przyczynią się do zaspokojenia
głodu czytania na wsi.

PROJEKT POWIEŚCI pt. „ORLY PODNIEBNE”

Uwagi dla przyszłego autora: Jest pod
Krakowem wioska — osada chałupnicza,
zamieszkała przez samych ślusarzy z dzia-
da pradziada. Istnieje od czasu Kazimie-
rza Wielkiego, który sprowadził z Węgier
12 płatnerzy z rodzinami i osadził ich w
Polsce, by tutaj kuli broje dla rycerstwa,
we wsi Górki. Wieś ta dzisiaj zwie się
Świątynki Górne. Jest ona położona o 100
m wyżej od rynku krakowskiego i domi-
nuje nad całą okolicą. Stąd zobaczyła po-
raz pierwszy Kraków młoda królowa Ja-
dwiaga, jadąc z Węgier do Polski. Serdecz-
nie musieł ją witać synowie i wnukowie
jej złomków, osadzonych w Polsce. Jak
wspominają historycy odprowadzili oni
młodą królową do Krakowa.

Otrzymali oni wówczas przywilej strzeże-
nia katedry wawelskiej i przywilej ten u-
trzymany został do dzisiaj w mocy. Stąd
też i zmieniona nazwa wsi.

Obecnie liczą Świątynki około 1600 mie-
szkańców: w r. 1910 liczyły 4.100, w tym
2.300 mego nazwiska.

W r. 1888 założona została w Świątyn-
kach państwowa szkoła ślusarska, która za-
siliła przemysł polski niejedną porządną
siłą fachową, jak wermistrze, kreślarze,
technicy, maszyniści kolejowi i in., a w o-
statnich 20 latach mechanikami lotniczymi
i pilotami.

Z tych chciałbym wybrać bohaterów pro-
jektowanej powieści lotniczej dla młodzie-
ży. Nazwiska podane przez mnie będą
autentyczne, bo to moi krewniacy, ale
wartoby może podać ich pod innymi, tym
łatwiej, że w miejscowościach o wielu po-
wtarzających się nazwiskach, każdy czło-
wiek ma jakieś przezwisko, nazwę je „prze-
zwą”, której się nie wstydzę. Ale o tym pó-
źniej.

Charakterystyka Świątynian. Zapalni,
dlatego kiłkwi, biedni, może dlatego do-
brzy i uczynni, patrioci jakich mało, lubili
zawsze uczyć, tańce, zabawy, pijatyki i
śpiew. Ten ostatni należy postawić na pier-
wszym miejscu. Naród wojowniczy i żoł-
nierski. W r. 1939 w W. P. było Świątyni-
czan: 2 pułkowników, 7 lub 8 majorów (je-
den z płk Kotarba Bentamin poległ pod
Rzeszowem w 1939 r., o innych wiele nie
wiem). Wszyscy prawie o tych samych na-
zwiskach.

W czasie powstania na Kretle w 1897 r.
60 Świątynian poszło na ochotnika na
pomoc powstańcom. Co karczma aprowi-
dowali się i kto już wydał wszystkie pie-
niądze zostawał, bo jakże miał podróżować
bez grosza? Ostatnich dziesięciu wróciło na
czwarty dzień. Kierunek mieli dobry, bo

*) Z projektów powieści nadesłanych
przez A. Kotarbę drukujemy pierwszy p. t.
„Orły podniebne”.

południowy, lecz brakło im tory na po-
dróż (autent.).

W powstaniu styczniowym było ich kil-
kunastu, z moim dziadkiem na czele, któ-
ry stracił nogę w powstaniu w górach świę-
tokrzyskich.

W Leg. Pol. służyło nas kilkunastu. Pra-
wie sami sierżanci, bo to chłopcy zmyślne.
Kilkunastu Świątynian posłada krzyże
V. M., kilkudziesięciu Krzyże Walecznych.

Wracam do konkursu. Większość lotni-
ków - Świątynian służyła w 2 p. lotn. w
Krakowie. Głową ich rodu był mój ciotecz-
ny brat Józef Kotarba, sierżant - pilot jesz-
cze z poprzedniej wojny. Po katastrofie w
1939 r. kto miał na czym, wyfrunął do Ru-
munii i dalej do Francji i Anglii.

Nie starczyło dla wszystkich skrzydeł lot-
niczych. Zostali w kraju niektórzy z nich,
ale tylko do zimy. Gdy spadły śniegi jedna
para bliźniaków — Walasów, siostrzeń-
ców Józka Kotarby i druga para bliźnia-
ków — Kotarbów, Antos i Miecio, przypięli
narty i pojechali na Węgry, a stamtąd da-
lej.

Zesłali się w Londynie i policzyli. 16-tu
Świątynian w tym 8 Kotarbów — z Józ-
kiem Kotarbą, pilotem i jego, a także i
moim bratem ciotecznym Stefanem Dęb-
skim, mechanikiem lotniczym, na czele.

Po tym pierwszym kongresie lotniczym,
Stefek D. napisał do cioci swojej w Chica-
go, podając jej cały imienny skład lotni-
czej ekipy Świątynickiej, ta znów z kolei,
teszcze przed zerwaniem stosunków dyploma-
tycznych pomiędzy Stanami Zjedn. a
Niemcami, przekazała wiadomość do nas.
Stąd wiemy, kto był w Londynie. Po po-
wrocie choćby jednego z nich, dowiemy
się reszty.

Który z nich padł, który żyje, dokładnie
nie wemy. Dotąd napisał St. Dębski, adre-
sując do żony, która przetrzymała 5-letnią
karnię w Oświęcimiu i powróciła ze starga-
nym zdrowiem. Pochwaliła się niebogą
mężem lotnikiem i wpadła do obozu, pozos-
tawiając czworo dzieci w wieku od 1 do
10 lat na łasce losu. Dziećmi zajęła się cio-
cia, a moja stryjenka i dochowała je do
powrotu matki.

Książkę „Orły podniebne” podzieliłbym
na następujące rozdziały:

I. W krakowskim pułku lotniczym — (z
fantazji na podstawie powyższych notatek).

II. Wojna w 1939 roku — (informacje od
uczestników lotników 2 pułku lotniczego w
Krakowie).

III. Katastrofa — (ratowanie resztek
sprzętu i ludzi).

IV. Emigracja — (Rumunia, Węgry, Jugo-
sławia, Francja i Anglia).

V. Wojna na śmierć i życie — (Anglia,
Afryka, Włochy, a zwłaszcza Niemcy. Na-
loty i naloty — z fantazji pisarza, o ile mo-
żności lotnika).

VI. Po zawieszeniu broni — oczekiwanie
na powrót do kraju.

VII. Powrót do kraju.

Dalsze uwagi: Twórca powieści powinien
odwiedzić Świątynki Górne, gdzie uzyskał-
by wiele koniecznych szczegółów do powie-
ści. Dobrze by było, by był nim lotnik, jak
Juliusz Meissner, na przykład.

Adolf Kotarba

Mikołaj Szmigularz (Wrocław):

Wieś polska, chociaż żyje potrzebami
ogólnoobywatelskimi, nie oderwana od ży-
cia społecznego, ma jednak pewne cechy
odrębności w sobie. Chłop styka się czę-
ściej z przyrodą, współpracuje z nią, jak
zachodzi potrzeba walczy, rezultaty swojej
pracy widzi ciągle przed oczyma. I wie, że
jakie zasoby sił i starań w nią włoży, takie
będą jego plony.

W setknięciu się z innymi warstwami
społecznymi współpraca nie zawsze udaje
się. Człowiek miasta żyje życiem burzliwym
— ruchliwym, ale za to mniejszyciwym.
Pracownik biurowy, urzędnik, przyzwyczai-
lony już jako maszyna do odrobienia swe-
go, a później — albo w cichym kącie wy-
począć, albo zająć się przeważnie sprawa-
mi własnymi. Podobnie i robotnik po pra-
cy przestaje się interesować pracą. Czy w
fabryce, czy kopalni — jakie wydarzenie —
nie jego sprawa. Głowa o to nie boli go, je-
śli przyjdzie jakiś wypadek — byle on tego
uniknął. A chłop? W dzień i nocą zaintere-
sowany ciągle swoją pracą, potrzebami, czy

to w gospodarce samej, czy poza nią. W
nocy drży, gdy zerwie się burza, aby jego
plony nie poszły na marne, po pracy my-
śli, jak rozliczyć się z państwem, spółdziel-
nią, jakie stanowisko zająć w samorządzie.

W związku z tym wieś oczekuje ciągle na
powieść, która wypłynie z człowieka żyją-
cego w niej i kłopotającego się razem z nią,
który walczy i współdziała z nią nierozer-
walnie.

Byli „Chłopi” Reymonta. Opowieść o ol-
brzymim artyście. Odwiercałdlit w niej
Reymont wieś 19 wieku. Wieś ta żyje swol-
mi sprawami niezainteresowana tym, co
się dzieje w świecie. Był Orkan, który czy-
to w „Roztokach”, czy innych utworach
ciągle płakał i wdychał, że wieś przepojo-
na ciemnotą, niezadadnością, że swoich
przewodników lekceważy. Jedynie „Listy
ze wsi” mają znaczenie dla dzisiejszego
człowieka.

Był Burek z „Drogą przez wieś”, ale to
tylko pytkie felietony, gawędy wieczoro-
we. Jedynie J. Wiktor „Orką na ugorze”

S B W

SPÓŁDZIELNIA BUDOWNICTWA WIEJSKIEGO SAMOPOMOC CHŁOPSKA

z odpow. udziałami

CENTRALA: Warszawa, ul. Grójecka Nr 12/14. — Telefon 22-377. — Skróty
telegraficzny „ESBEWUSAM”.

ODDZIAŁY: Białystok, Bydgoszcz, Gdańsk, Katowice, Kielce, Kraków, Lublin,
Łódź, Olsztyn, Poznań, Rzeszów, Szczecin, Warszawa i Wrocław.

WYDZIAŁ BUDOWLANY:

- 1) opracowywanie planów i projektów budownictwa wiejskiego,
- 2) prowadzenie robót budowlanych w zakresie nowoczesnego
budownictwa wiejskiego,
- 3) poradnictwo techniczne i organizacyjne w zakresie planowa-
nia i wykonywania budownictwa wiejskiego,
- 4) szkolenie wykonawców i instruktorów budownictwa wiej-
skiego.

WYDZIAŁ WYTWÓRNI MATERIAŁÓW BUDOWLANYCH:

- 1) organizacja i prowadzenie wytwórni materiałów budowla-
nych,
- 2) poradnictwo techniczne i organizacyjne w zakresie planowa-
nia, organizacji i prowadzenia wytwórni materiałów budow-
lanych.

WYDZIAŁ HANDLOWY:

Dostawa wszelkiego rodzaju materiałów budowlanych: bez-
pośrednio w ładunkach wagonowych i w mniejszych ilościach
z własnych składów.

trafił do serc młodzieży. Dobry „Błogosławiony chleb ziemi czarnej”. Ale i „Orka na ugorze” całokształtu zagadnień nie porusza. Nie wspominam o Żeromskim, Sienkiewicz, których powieści do głębi wstrząsnęły duszą młodą, zwłaszcza Żeromskiego, gdy myślimy o pracy społecznej, a Sienkiewicza, gdy wspominamy naszą przeszłość.

Ale to wszystko należy do przeszłości, dzisiejsza wieś czeka, czeka na powieść o niej i dla niej. Czekają zastępy nie partyjników, ale czeka na wychowawców.

W moich myślach powstała kilka lat temu powieść, która składałaby się z trzech części.

Pierwsza część tej powieści to „W drodze po prawdę”. Przedstawiła ona wieś polską po wojnie światowej. Bohaterzy to rodzina np. Józefa, który wraca z wojny do domu, wychowuje dzieci wśród społecznych walk, partyjnego wstecznicstwa aż do zamachu majowego. Po zamachu majowym, gdy chłop dostał „pałką w łeb” dorasta mu trzech synów. Dużo mają zamiłowania do nauki. Jeden ciągle szpera w żelaznych gratkach i naiwnie twierdzi, że buduje samolot. Ojciec, gospodarz na dwu ha, nie może syna ani jednego oddać do miasta do szkoły. Najstarszy syn czyta, uczy się, ciągle szpera w przeróżnych papierzyskach, aż na egzaminie nadzwyczajnym ku zdziwieniu wszystkich zdaje celując 7 kl. W tym czasie trafia do organizacji młodzieżowej. Staje się b. czynny. Korzysta z kursów społecznych, gospodarczych i spółdzielczych. Kończy pomyślnie kursy Staszica P.R. z zakresu średniej szkoły, robi przewrót w swojej małej gospodarce, zostaje kierownikiem Spółdzielni, a w końcu trafia jeszcze na U. Ludowy. Ze sobą pociąga nie tylko młodzież swoją, ale okoliczną. Zostaje prezesem pow. zarządu Młodzieży Wiejskiej.

Przy tym współpracują chłopcy i dziewczęta wiejskich. Zorganizowanie teatru, świetlicy, biblioteki. Atak księdza, a następnie współdziałanie z nim. Drugi brat (technik) zostaje zawiedziony w swoich nadziejach na gospodarce. Wspiera jednak starszego brata. Najmłodszego oddaje do gimnazjum, ale tam wśród szyszan chłopaka „spalili”. Powodem tego było to, że gdy syn nauczyciela powiedział do niego „ty chłopska świni”, ten odpowiedział „Świnią z ciebie mięsa nie jada, a ty ze świni jesz”. Wśród walk, borykań samokształcenia w okolicy znać wielki postęp i dorobek, tak że nawet dawniejsi przeciwnicy — dziś uznają pracę młodych szaleńców. W takim to czasie dalsze prace nad podniesieniem wsi polskiej, w walce o jej interes i należne

jej stanowisko w Państwie siłą odebrane i gnione przez reakcję represjami, następuje wojna 1939.

Wojna przerywa wszystko. Lud rozsypuje się.

Druga część „Tryumf fałszu” (możnaby tytuł zmienić). Organizowanie pracy konspiracyjnej: B. Ch., A. K. Polak poznaje swą siłę i swoją słabość. Nastąpiły wysiedlenia, aresztowania. Chłop nie wierzył, że to, co od praocjów odziedziczył, nie może być jego. Rola kościoła w tym czasie. Ucieczka przed Niemcami na tereny wschodnie do Rosjan. Wkrótce i tutaj wkraczają Niemcy. Wtedy to następuje ta sławna szowinistyczna ukraińska walka przeciw Polakom. Pałają się wieś polskie, mordują Polaków w bestialski sposób. Nawet w rodzinie — ojciec Polak, matka Ukrainka i przeciwnie następuje nienawiść i rozbrat. Przywodzą temu księża ukraińscy, którzy z ambon i konfesjonatów szczują na Polaków. Rodzina Józefa i jego synowie stają się organizatorami oporu. Od Ukraińców listownie otrzymują ostrzeżenia, żeby się wynieśli ze wsi hen — bo są skazani na śmierć, na zabicie w beczkę i puszczanie na wodę.

Chłopcy tym się nie zrażają. Dowożą prasę podziemną, broń z rzutów i kupowaną. Organizują cywilną i wojskową administrację i stała się duszą okolicy. W tym czasie inteligencja i nauczycielstwo ze wsi wieje. Zostaje tylko chłop i ksiądz Maciej. Młodzi uzbrojeni od stóp do głów. We wsi Ukraińcy zorganizowali w czasie głodu kuchnię dla dzieci ukraińskich. Polskich nie dopuszczono, chociaż ta kuchnia była przy szkole i prowadzona z dotacji samorządowych. Najmłodszy syn Józefa organizuje na spółkę z kolegami kuchnię polską w porozumieniu z delegaturą RGO, choć ta w niczym nie pomaga. Pod firmą tej kuchni płynie życie tajne. Inicjatora tej kuchni aresztuje ukr. policja i zsyła do obozu pracy. W drodze ucieka i zostaje we Lwowie. Uczy się na tajnych kompletach i walczy. Średni syn był wywieziony na roboty do Niemiec, skierowany na przyfrontowe prace. Po umundurowaniu i uzyskaniu urlopu nie wraca i pomimo pościgu Gestapo nie daje się. Staje się postrachem okolicy.

Ciekawy tu stosunek rodziców do synów konspiratorów. Drżą o życie najdroższych im synów, a zarazem cieszą się, że ci taką drogę obrali. Ukraińcy wywieśli we wsi odezwę, wzywającą Polaków do opuszczenia wsi w ciągu 10 dni. Chłopcy wywieśli odezwę do Ukraińców — opuście wieś w ciągu 5 dni. Jak się będzie wieś palić, to do

korzenia. Chłopcy przygotowują materiały wybuchowe, benzynę i naftę. Z frontu dochodzi wieść, że Czerwona Armia idzie wprzód jako sojusznik, ale wieść ta głosi także, że SS Policja pali i niszczy wieś polskie i Polaków. Przygotowuje się obrona. Wieś obstawiona strażą, w środku wsi CKM spod Tobruku. Chłopcy okrążają wieś, by nie dopuścić bandy. Ukraińcy zorganizowani w większej sile są przekonani, że Polacy uzbrojeni po zęby też mają pomoc partyzantki polskiej, wahają się. Nacierają na wieś. Odywa się CKM i pepe-sze. Wśród Ukraińców przekonanie, że to pierwsze patrole sowieckie, zaniechali napadu. Rano wkracza gwardia sowiecka owoacyjnie witana i goszczona przez Polaków. Po ujawnieniu chłopcy idą do Armii Polskiej. Ogłoszono Manifest Lipcowy.

Trzecią część „Zwycięstwo ludu”. Zorganizowany wyjazd na zachód, panowanie demokracji — ale to możnaby skończyć dopiero po wyborach. Chłop już stał się podmiotem, a nie przedmiotem w swoim Państwie. Chłop to gospodarz i inicjatywa twórcza, i miłość do ziemi. Treść możnaby różnie zmieniać. Nie podaję tego projektu za regułę. Podobne wspomnienia sam jednak będę starał się pisać. Podobnych tematów przewija się setki w mózgu. Poca szukać nam tematu bajecznego, kiedy przeżywalimy czasy jak w bajce? Fantazja towarzyszy nam w walce o Polskę. Historyczna powieść jest budująca, naukowa, ale jest przeważnie wymysłem fantazji. W powieści o postępie wsi, o pracy rozpoczętej od orki ugoru do zdobycia sobie pozycji w każdej dziedzinie: sztuki, nauki, polityki, będziemy mieli historię żywą w kolorach tęczy. Historię rąbaną twardą dłońią chłopca polskiego.

Wieś nie chce utopli, nie chce ciepłych, naiwnych bohaterów szlacheckiej powieści. Wieś chce realnej powieści z jej życia. Chce mieć obraz tej drogi, którą kroczyła. Chce mieć wskazówki na drogę, która ją czeka. Wieś nienawidzi powieści, w której autor rozczula się nad nią, woli taką, w której kładzie się nacisk na „jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz”. Jakże „bracie raz dostał w skórę przez swoją głupotę, drugi raz unikał tego na przyszłość”.

Powieść może kończyć się dobrze, albo też tragicznie, zależnie od treści i celu powieści. Powinno się unikać, jak najmniej używać obcych wyrazów, zastępować je swoimi gętkimi i dźwięcznymi. Lubię styl żywy i barwny, jak styl Żeromskiego, który by był piękny i mógł wyrazić głębszą treść. W niektórych wypadkach, jeżeli chodzi o

powieść lepszą, dobry styl plastyczny Sienkiewicza. Ale musimy wyjść z tego założenia: skoro narodzi się powieść, styl będzie taki, jakim będzie pisarz. Styl — to charakter pisarza. To jego serce i mózg. Pisać taką powieść może pisarz, który, jeśli nie przeżywał takiej akcji, to obserwował ją dokładnie.

Prócz tego winna ukazać się podobna książka dla dzieci. Dobra byłaby zwłaszcza na wieczory dyskusyjne, towarzyskie zebrań, także książka, będąca zbiorem reportaży, felietonów, różnych migawek, dotyczących wsi i chłopca, albo spraw, które bezpośrednio wieś interesują. Coś krótkiego, a mocnego, jak np. „Błogosławiony chleb ziemi czarnej” Wiktora. Naogół powieści Wiktora pisane są przystępnie dla wsi i zrozumiale, ale za dużo czułości i serca, za mało równowagi między rozumem a uczuciem. Kto ciebie w policzek, to ty go bęc w oba, to jest zasada i samoobrona chłopca polskiego.

Nienawidzę w powieści niezaradności i płaczu. Jeśli on jest, musi mieć swoje głębsze źródła i z tego płaczu powinien zrodzić się bunt i zapłata dla krywy.

W powieściach dla wsi trzeba ciągle podkreślać słowiańską wspólnotę, solidarność. Ideę słowiańską dostosować do dzisiejszych potrzeb i wymagań. Tak samo należy podkreślić to, że na gruzach przegniętych i zburzonych cywilizacji feudalnych, dyktatorskich, od Babilonu, Rzymu, aż do Niemiec, które były oparte na wyzysku i gnębieniu, rodzi się nowa idea słowiańska, która przed sobą ma olbrzymią i piękną przyszłość, ale wtedy, gdy będzie oparta na sprawiedliwości społecznej, miłości bliźniego. Wtedy, gdy będzie ideą demokratyczną. Bo gdy się spaczy, zboczy z toru, obrze inna drogą obcą naszym słowiańskim ideom, runie tak, jak runęły jej poprzednice. Ta idea zrodzona w nas, musi być pielęgnowana przez nas, zdaleka od obcych wpływów. Bo jak ją zarazi rak, to rad Curie-Skłodowskiej nie pomoże. Od siebie witam z radością ten konkurs, ponieważ choć tak krótko wypowiedziałem to, co uważałem za stosowne. Proponowałbym jeszcze ogłosić konkurs na powieść pisaną przez dół z pominięciem pisarzy zawodowych (nakreślić krótko czego się w niej wymaga), albo choćby pamiętnik z lat ostatnich dziesięć. Wtedy i Ty kochana Komisjo i całe społeczeństwo dowie się niejednej prawdy. Może to dzisiejszych ludzi odpowiedzialnych za bieg historii będzie razić — ale Prawda zostać musi. Prawda.

Mikołaj Szmiędzarz

Zbigniew Krawczykowski

CZY W POLSCE BĘDĄ TRAKTORY?

SPRAWA NAJWAŻNIEJSZA
— MECHANIZACJA ROLNICTWA

Niemal w pierwszych miesiącach Polski Odrodzonej, Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych powołało do życia Państwowe Przedsiębiorstwo Traktorów i Maszyn Rolniczych, któremu powierzyło pracę pionierską na polu traktoryzacji i mechanizacji rolnictwa.

Zadanie to ogromnie niewdzięczne. Większość naszych rolników nie miała i nie ma dotychczas zaufania do mechanicznej uprawy roli. Rzecz dziwna, w okresie, kiedy maszyna na każdym kroku stara się zastąpić człowieka, gdy umysł ludzki dokonał szeregu odkryć i epokowych wynalazków, których ukoronowaniem jest dzisiaj dążenie do zastosowania energii atomowej, w dziedzinie rolnictwa istnieje (nie tylko zresztą u nas) wyraźna tendencja do trwania w stanie pierwotnym.

Rolnik polski przekłada uciążliwą, żmudną pracę przy pomocy konia nad nowoczesną mechaniczną obróbką roli traktorem.

Zagadnienie mechanicznej uprawy roli w chwili obecnej nabiera ogromnego znaczenia w skali ogólnopolskiej. Od właściwego rozwiązania tej kwestii zależy szybki rozwój naszego rolnictwa i tak ściśle z nim związanej naszej ogólnej gospodarki narodowej. Dopóki bowiem nie odbudujemy naszego przemysłu, zdewastowanego przez zawieruchę wojenną, rolnictwo pozostanie najważniejszą pozycją w naszym życiu państwowym.

CZEGO SPODZIEWAMY SIĘ
PO PRZEDSIĘBIORSTWIE

W jakim stopniu Przedsiębiorstwo Traktorów i Maszyn Rolniczych wywiązuje się

ze swych zadań, jakimi się może pochlubić osiągnięciami, jakie ma zamiary na najbliższą przyszłość?

Zostało ono powołane do życia z dniem 2 lutego 1945 r. przez Ministra Rolnictwa i Reform Rolnych. Główne zadania postawione przed Przedsiębiorstwem polegały na:

- obsługiwaniu gospodarstw rolnych przez tworzenie Stacji Traktorów i Maszyn Rolniczych,
- szkolenie obsługi traktorów oraz obsługi maszyn i narzędzi rolniczych,
- zakładanie i tworzenie warsztatów reperyjnych traktorów, maszyn i narzędzi rolniczych,
- prowadzenie badań naukowych nad udpszaniem maszyn i narzędzi rolniczych.

Pierwsze prace organizacyjne Przedsiębiorstwa prowadzono na terenie województw: Rzeszów, Lublin, Kielce, Warszawa i Białystok. Równocześnie z miejsc rozpoczęto prace polowe ze względu na palące potrzeby naszego rolnictwa. Zaczęto od organizowania placówek, zebrania i przygotowania sprzętu oraz szybkiego szkolenia kadr traktorzystów. Ponieważki sprzęt maszynowy, jakim dysponowało Przedsiębiorstwo w pierwszym okresie swej działalności, w olbrzymiej większości nie nadawał się do użytku. Poza jednym samochodem osobowym, nie było środków lokomocji; brak było materiałów pędnych, niezbędnych do uruchomienia pierwszych traktorów, i, co najważniejsze, brak ludzi obznajmionych z obsługą traktorów i maszyn rolniczych.

Wysyłane w teren brygady zbierały do słownie traktory i samochody po polach, wyszukiwały i odbierały je od niepraw-

nych posiadaczy, poczem przejmowały i zabezpieczały sprzęt. Natychmiast po zebraniu sprzętu przystępowano do remontu, przeprowadzanego częściowo we własnych uruchomionych już warsztatach, częściowo w warsztatach prywatnych. Poważną trudność przy przeprowadzaniu remontu stanowił brak części zapasowych, które musiano zakupywać na wolnym rynku.

Z materiałami pędnymi radzono sobie w ten sposób, że zabezpieczano przede wszystkim materiały pozostałe po okupancie, a następnie nawiązano kontakt z C. P. N. celem otrzymania odpowiednich ilości materiałów pędnych i natychmiastowego przeprowadzenia ich w teren.

Ze względu na brak ludzi przystąpiono niezwłocznie do szkolenia fachowców, uruchamiając 2-tygodniowe kursy dla pracowników obznajmionych już częściowo z pracą przy traktorach. Dla innych, nie mających jeszcze odpowiedniej praktyki lub w ogóle nie posiadających żadnych kwalifikacji technicznych, uruchomione zostały kursy miesięczne. W krótkim okresie czasu przeszkolone zostały kadry nowych pracowników, którzy z całym zapędem wzięli się do roboty.

W ślad za wojskami wypierającymi okupanta z kraju postępowały czołówki organizacyjne P. P. T. i M. R., organizując wszędzie placówki Przedsiębiorstwa i z miejsca zabierając się do pracy. Niejednokrotnie pracowano w strefach przyfrontowych z narażeniem życia. Wielu traktorzystów poświęciło życie na posterunku, zabici przez miny, wielu było lżej lub ciężiej rannych (por. „Przegląd Traktorowy” nr. 2, podający spis nazwisk tych naszych pierwszych bohaterów mechanizacji rolnictwa).

Od sierpnia 1945 r. Przedsiębiorstwo otrzymywało traktory amerykańskie w ra-

mach dostaw UNRRA. W maju 1945 r. otrzymano 150 sztuk traktorów sowieckich ATZ. Stan liczbowy traktorów szybko wzrastał i doszedł od ilości 139, którymi Przedsiębiorstwo dysponowało w mies. lutym 1945 r. do 10.290 sztuk w mies. lipcu 1946 r. Po odliczeniu od tej sumy traktorów znajdujących się w remoncie — czynnych w polu było 5.193 traktorów.

Do końca roku 45 traktory Przedsiębiorstwa wyorały 653.770 ha w przeliczeniu na orkę średnią. W okresie od 1 stycznia 1946 r. do września tegoż roku wyorano 1.700.843.04 ha. Ogółem od początku istnienia Przedsiębiorstwa do końca września 1946 r. traktory P. P. T. i M. R. wykonały 2.354.613.04 ha. orki średniej.

Cyfry te obrazują wymownie rozwój P. P. T. i M. R., które z przysłowiowego skromnego kopciuszka przeobraziło się w wielkie przedsiębiorstwo, obejmujące swoim zasięgiem całą Polskę.

Obecnie P. P. T. i M. R. posiada 14 oddziałów wojewódzkich, 246 stacji powiatowych oraz 409 warsztatów. Zorganizowano również delegaturę dla spraw UNRRA w Gdańsku oraz delegaturę w Warszawie. Personel Przedsiębiorstwa liczy 20.263 pracowników według danych z końca września b. r.

Naogół więc bilans dotychczasowych prac Przedsiębiorstwa przedstawia się pozytywnie, zwłaszcza, gdy weźmiemy pod uwagę ciężkie warunki, w jakich musiało pracować oraz krótki okres istnienia Przedsiębiorstwa.

W tej chwili ma ono przed sobą jedno z największych zadań, którego spełnienie pozwoli nam ocenić działalność instytucji. W okresie Daniny Narodowej sprawa zagospodarowania Ziemi Zachodnich staje się głównym problemem państwowym, który bez traktorów rozwiązany być nie może. Będzie to wielki egzamin naszej młodej mechanizacji rolniczej.

Jan Maszaiek

Literatura pod strzechą

STWIERDZENIE

Na początek takie lapidarne stwierdzenie: **wieś nasza żyje bez książki.** Nie jest to żadna rewelacja. Każdy z pewnością miałby więcej zdaje sobie z tej sytuacji sprawę. Rzeczywistość z jaką ja mam się okazać stykać jest jednak tak alarmująca, że nie sposób tej sprawie pominąć milczeniem.

Oto wyniki przeprowadzonej w moim środowisku ankiety: na sto rodzin chłopskich znalazło się 9 książek w tym tylko jedna („Baśnie norweskic”) wskazuje na to, że kupił ją ojciec z wyraźnym celem podarowania jej synkowi. W 7 pozostałych wypadkach zarówno dobór książek jak i ich stan (powyrywane kartki, brak okładek, części większych części) nasuwają przypuszczenie, że właściciele ich znaleźli się w posiadaniu swych książek zupełnie przypadkowo.

Wypada przy tym zaznaczyć, że wieś, a raczej wsie, z których czerpałem materiał do niniejszego artykułu, to bynajmniej nie „świat deskami sabyty”.

Dalej się to bowiem w centrum Polski, w okolicy Łodzi. 4 te wsie odległe są 2—3 km od najbliższej stacji kolejowej, położone przy drodze, wiodącej do odległego o 8 km miasteczka. A więc styczność ze światem jest. Gospodarze na ogół też nie biedni.

ANALFABETYZM CZY BIEDA

Stan taki mógłby usprawiedliwiać lub przynajmniej wyjaśniać tylko analfabetyzm lub bieda. Oba te przypadki nie mogą tu jednak być brane pod uwagę.

We wszystkich 100 wypadkach, które badałem, miałem do czynienia z ludźmi, którzy potrafili czytać i pisać, nieraz nawet błędnie. Czytują sobie od czasu do czasu gazetę (bo tam mowa o polityce), piszą sążniste nieraz listy do krewnych i znajomych, z rozmową widzą, że są dosyć rozgarnięci i obcy w świecie, że mają swoje poglądy na wszystkie dotyczące ich bezpośrednio sprawy. Potrzeby czytania jednak nie odczuwają.

To dla nich nie jest żadna rozrywka. Jedyna godna ich rozrywka to kieliszek, oczywiście nie jeden. I ta miłość, jaką zdają się pałać do monopolu spirytusowego utwierdza mnie w przekonaniu, że biedy u nich biorąc ogólnie być nie może. Oczywiście są biedniejsi i bogatsi i są całkiem biedni. Ale u wszystkich nicomal znaleźć się na „pół butelki”. Żyje tak jak go na to stać, ale wypić musi też od czasu do czasu. Bez tego życie nie miałoby dla niego żadnego sensu. Nie jest to bynajmniej jakiegoś plucie desperackie dla „zalania robaka”, ale delectationem się po prostu ognistym trunkiem.

A więc ani bieda, ani analfabetyzm nie mogą być wysuwane jako przyczyny niechęci chłopca do książki.

PRACA W POCIE CZOLA

Już bardziej usprawiedliwiająca chłopca w jego niechęci do książki jest ciężka praca rolnika. Praca, która ogłupia wprost człowieka, pogrąża w krąg drobnych nieraz spraw i kłopotów, która absorbuje całkowicie jego myśli i uwagę i nie pozwala na chwilę wytchnąć. Praca, która nie zna nierz pory obładowej, która zaczęta o wczesnej godzinie rannej, kończy się dopiero z nadejściem nocy.

Czy przy tego rodzaju zajęciu, które nie zna ani 48 godzinnego, ani 40 godzinnego tygodnia pracy, może być mowa o jakimś bardziej kulturalnym rodzaju rozrywek?

Mam wrażenie, że częściowo tak. Pomimo bowiem, że chłop ma bardzo ciężki kawałek chleba, że nieraz nawet zjeść nie ma czasu — to jednak nie jest to praca, która wymaga jednakowej intensywności przez cały rok. Są okresy w roku, zwłaszcza okres zimy, kiedy praca ogranicza się do niewiele czasu pochłaniających zajęć wokół gospodarstwa, w zagrodzie. Długo wieczory zimowe z pewnością skurczyłyby się nieprawdopodobnie, gdyby książka stała się koniecznością chłopca, tak jak dzisiaj kieliszek.

Jednak i tu jest małe usprawiedliwienie: kto zna ciężką wyczerpującą pracę fizyczną, ten wie, że równocześnie ze zmę-

ceniem mięśni, występuje zmęczenie psychiczne — znużenie. Trudno jest żądać od człowieka zapracowanego, wyczerpanego pracą w pewnych okresach nad miarę intensywną (wiosenne i jesienne prace w polu, żniwa), by czas wolny od swych zajęć zechciał spędzać przy książce, która też wymaga pewnego wysiłku myślowego. Na taki wysiłek może się zdobyć tylko ten, kto już zasmakował w książce. I tu zbliżamy się do sedna sprawy.

ROLA SZKOŁY W PROPAGOWANIU CZYTELNICTWA

Jednym z głównych celów nauczania języka ojczystego jest rozbudzenie w uczniu zamiłowania do czytelnictwa, bo tylko ono zagradza drogę powrotnemu analfabetyzmowi oraz warunkuje możliwość dalszego samokształcenia ucznia. Nie będzie bynajmniej przesadą, jeżeli powiem, że szkoła na wsi dotychczas tego celu nie osiągnęła, albo osiągnęła go w stopniu tak minimalnym, że ogół pozostał nadal nieczytelnym piękno utworu literackiego. Bo i skądże szkoła na wsi mogła rozbudzić zamiłowanie do czytelnictwa, skoro najbardziej popularny na wsi typ szkoły to jednoklasówka, gdzie dziecko chłopskie miało możliwość jedynie poznać sztukę pisaną i czytania w stopniu elementarnym.

Cały czas nauki dziecko stykało się jeno z trudnościami w opanowaniu sztuki czytania. A kiedy po trzech czy czterech latach nauki sztukę tę już posiadało w stopniu dostatecznym, kiedy teraz mogłoby już zasmakować w lekturze książek — musi „szkołę opuścić”, bo dana szkoła nie posiadała więcej jak estery oddziały a na wyjazd do miasta do wyżej zorganizowanej szkoły mało kto mógł sobie pozwolić. I oto cała edukacja dziecka wlejskiego w zakresie nauki języka polskiego kończyła się na elementarnym opanowaniu czytania i pisanie.

Ostatnia reforma szkolnictwa za jeden z zasadniczych celów postawiła sobie likwidację jednoklasówek i umożliwienie dziecku wiejskiemu osiągnięcia pełnego wykształcenia w zakresie szkoły powszechnej. Możemy więc liczyć na pewną poprawę na tym odcinku oczywiście o ile i sprawa dostatecznej ilości sił nauczycielskich zostanie pozytywnie rozwiązana.

Pozostaje jednak jeszcze drugi moment utrudniający książkę dostęp pod chłopską strzechą.

OSZCZĘDZIĆ CHŁOPU WYSIŁKU FIZYCZNEGO

Jest nim przeciwnie chłopca nieproduktywną pracą fizyczną.

Czytaliśmy niedawno w jednym z artykułów „Wsi”, że chłop polski, jak kupi gazetę, to chyba tylko na papierosy, natomiast w Ameryce chłop jadąc na pole jeszcze sobie czyta gazetę.

Pomijając pewne przejawy sytuacji cechujące ten artykuł — boć chłop nasz nie tylko na papierosy gazetę kupuje — nie uwzględnia on zupełnie różnej techniki pracy rolnika polskiego i amerykańskiego.

O ile rolnik amerykański czy zachodnioeuropejski coraz bardziej upodabnia się do robotnika w fabryce, kontrolującego jedynie pracę maszyny — nasz rolnik tkwi jeszcze w technice sprzed kilkuset lat. Do brzo, że dziś ręczne sępy coraz częściej są zastępowane przez młockarnie. Na ogół jednak postępu technicznego w rolnictwie trudno jest u nas się dopatrzeć. A brak tego postępu wyniszcza chłopca nadmierną pracą fizyczną.

Reforma rolna winna nie tylko dać chłopu kawałek ziemi, nie rąz bez dostatecznego sprzętu i siły pociągowej, ale winna ona również zapewnić taki układ stosunków w państwie, by chłopca stać było na inwestycje w sensie zakupu indywidualnego czy zespołowego nowoczesnych maszyn i narzędzi rolniczych, które wydatnie ułatwiłyby mu pracę. W tym sensie reforma rolna musi być doprowadzona do końca jeśli ma ona stać się dobrodziejstwem wsi. A możemy być przekonani, że wtedy znajdzie chłop czas i chęć na literaturę.

RÓWNOCZESNOŚĆ ETAPÓW

Jak więc widzimy, zablądzenie koleżki pod strzechą uzależnione jest od dwóch momentów: od dobrobytu materialnego chłopca i od umiejętnej propagandy czytelnictwa w szkole. Koniecznym jest jednak, by realizacja obu tych momentów przeprowadzona została równocześnie.

Cóż nam bowiem z tego, że rozbudziły w młodym chłopcu zamiłowanie do czytel-

nictwa, kiedy realne warunki bytowania zmuszą go do zrezygnowania z tak kulturalnej rozrywki, jaką jest książka, z tego prostego powodu, że czasu na rozrywkę w ogóle nie będzie miał zapracowany od świtu do nocy.

Równie dalecy będziemy od celu, gdy podnoszeniu materialnemu wsi nie będzie towarzyszyła równocześnie umiejętne propaganda czytelnictwa w szkole. Dobrobyt materialny chłopca może go wtedy wprowadzić do karesmy.

Koniecznym jest więc, by podnoszenie gospodarcze wsi odbywało się równocześnie z podnoszeniem kulturalnym poprzez akcję oświatową szkoły.

KSIĄZKA, ALE JAKA?

Jedną z przeszkód, które utrudniały książce dostęp „pod strzechą” był chłopski realizm. To jest ta cecha psychiki chłopskiej, która nakazuje chłopcu zajmować się tylko tymi sprawami, które w jakikolwiek sposób mogą wpłynąć na jego codzienne bytowanie. Realizm ten każe chłopcu lekceważyć powieść, jako zmyśloną „bajkę”. Powieść dla chłopca musi być równocześnie w pewnym stopniu o chłopach, musi zabierać o sprawy chłopskie. Chłopca bowiem nie oszczędzają wyszukane historie romansowych hrabin i próżniactwach lordów. Nasz zapracowany chłop nie znajduje odpowiednika wśród tego rodzaju papierowych charakterów. Życie bohaterów powieści nie będzie odpowiadać jego życiu. A wszak każdy niemal z czytelników lubi utosamniać się z bohaterami czytanej powieści, zmyślonej przez autora historia nabiera rumieńców życia, czytelnik wtedy głębiej ją przeżywa.

Wśród utworów beletrystycznych, zwłaszcza tego „niższego kalibru” przeważają dziś takie książki, które ze względu na tematykę chłopca naszego nie mogą zainteresować. A przecież czytelnik ma prawo do takiej książki, która mu najbardziej odpowiada, i nie ma bynajmniej obowiązku kupowania książki obojętnej jego zainteresowaniu, tak jak „nie ma obowiązku kupowania butów, w których chodzić nie może, czy nie chce”, jak powiedział kiedyś P. Hulka-Laskowski.

Wybitny ten publicysta w dyskusji na temat „kryzysu książki” (Sygnały, Nr 30, r. 1937) tak się wyraził:

„Największy i najliczniejszy spóżywca wszystkiego a więc także i książki, spóżywca lud, nie szuka łatwych wzruszeń ani w polu, gdzie pracuje w pocie czoła i o głodzie, ani w swej mrocznej izbie, ale wszędzie szuka prawdy wyzwolającej. Gdy ukaże się książka o nim i dla niego, to jest dla jego przyszłości napisana, kryzys książki zniknie, między twórcą i spóżywcą dojdzie do porozumienia łatwego i cennego. Trzeba tylko według starej niewykorzystanej recepty Mickiewiczza „mieć serce i patrzeć w serce”. W tej formule jest cudownie proste rozwiązanie kryzysu książki polskiej. Trzeba przestać uciekać z rzeczywistości w barok, w tradycję, w fidrygalizm groteski i zacząć mówić prawdę o życiu i człowieku. W tym jest wszystko”.

POSTULAT GOSPODARCZY

Nie interes zawodowy pisarzy nakazywał i nakazuje pisarzom i publicystom zajmowanie się kryzysem książki ale interes społeczny całego Narodu.

Nie jest bowiem dziełem przypadku, że kraje wysoko uprzemysłowane, to kraje bez analfabetów, to kraje o milionowych nakładach dzienników, czasopism kulturalnych i książek. W krajach tych nie byłaby możliwa wysoka cywilizacja techniczna bez uprzedniej likwidacji analfabetyzmu, dokonanej wspólnym wysiłkiem szkoły i książki, nauczyciela i pisarza.

A wiadomo, że państwa o dużym dochodzie społecznym to nie państwa rolnicze ale przede wszystkim państwa przemysłowe lub przemysłowo-rolnicze. W interesie więc ogólnego dobrobytu Narodu, leży, by książka dotarła „do mas” lub jak kto woli „zbiłądziła pod strzechą”. Jest to bowiem postulat nie tylko kulturalny ale i gospodarczy.

Wiktor Woroszyński

Ż N I W A

Otrzeć rękawem
spocyny łeb,
oczy
rozrzucić wśród rżysk, —
myśli
krótkie, jak kosy błysk:
— Ziemia. Zboże. Chleb.

Siła.
W ziemię, sparzoną nowiem
stopy
wparły się
bose.

Krew — rozżarzoną w żyłach ołowiem.
W dłoniach
bulawę ma —
kosę.

Kosę, jak zęby,
w zboże
wbil,
znowu ziemię obnażyć
czarną,

Później w snopki powiązać
żyto i życie,
wymłócić treść jego —
ziarno.

Po młócce —
worki z ziarnem
na wóz,

Jazda
do młyna
przez wioskę!

I wraz z tym ziarnem
będzie wioził

Słońce,
Wolność,
Polskę — — —

Józef Bieniek

NA ŚLĄSKIM PODHALU

Bogaty urok jesieni ma w sobie głęboki ton dobrego spokoju i dostojnej ciszy. Jej osobliwe piękno porównać by można do wnętrza starej świątyni, gdy sączące się po przez wielobarwne witraże słońce rozpyla w półmroku chłodnym tęczową bań, oprószoną bezgłośnie śmiechem aniołków, obozujących wśród lśniących złocen ołtarzy, u stóp Najwyższego, zasłuchanego w szept modlitw, szeleszczących jak opadające liście.

Ale tu w Górach Olbrzymich piękno jesieni ma chyba stokrotnie spotęgowaną wymowę: Mieszane lasy zarastające potężne cielska gór tworzą przedziwnie wspaniałą mozaikę barw — tu ogniska buków górej najczystszy złotem, tam brzozy jak parafinowe gromnice świecą konającej naturze żółtawym blaskiem ostateczności, obok zaś modrzewie rudawymi plamami skaczą niby wiewiórki po mrocznej zieleni jodeł. A wszystko to leciuchno spowite niebieskawym welonem słońca, przesycającej widnokrąg aż hen po szczyty, które, jak kapryśna dziewczyna, raz odziewają się welnianą koldrą chmu, by za chwilę rozstrząciwszy mgły przeć w błękitną powalę nieba, niby gromada zuchwałych tytanów przagnących zbadać tajemnice Boga.

W dolinach ludnych gra słońce na klawiszach okien i blaszanych dachów błyskotliwą pieśń — z wyłożonych sadów srebrowo — szkliste ogniska kłują oczy ostrością blasku. Z pomiędzy lasów, dachów i dachów wystrzelają smukłe pnie fabrycznych kominów, nad którymi chwieją się modrobure gałęzie dymu.

Huczą miliardokonne motory Życia. Po lśniących niciach szyn i czarnych tasiemkach dróg palce niewidzialnego olbrzyma przesuwają bezustannie ziarna Ruchu. Jadą pociągi pełne ludzi, że lokomotowy, niby tatrzańscy harnasie, zdobne w długie pióra dymu zawiadającym szumem i gwizdem trafiają obmokłą ciszę pól sennych i mrocznych lasów. Po szklistej czerni asfaltu grają motory rzeźką melodią biegu oddychając głośno i zawzięcie, mkną bezszelestnie rowery, dudnią furmanki, człapią piesi.

Wszystko niby tak samo jak w parę lat wstecz, a przecież inaczej. Jakże bardzo inaczej!

Nad szczytami i dolinami, skroś lasów, pól i dróg zaległy inne czasy i inni ludzie. Polskie czasy i polscy ludzie!

* * *

Człowiek od Sącza czy N. Targu, gdy po przejechaniu blisko 600 km wylądował w Wałbrzychu, Kamieniu lub Jeleniu Górze nie zdaje sobie po prostu sprawy z różnic przebytej przestrzeni. Gdzie rzuci okiem góry i lasy, a pod nimi szachownica pól. Wszystko prawie takie samo jak tam. Wydaje mu się tylko, że góry jakby przytyły, rozrosły się i spotężniały, że w obliczu zimnej ciepłej odziały się gęstą sierścią lasów. Ulegając sugestywnej sile wspomnień przybyszy gotów jest przysiąc, że to Podhale, Beskidy, Gorce — u których stóp nie Jelenia Góra to a Sącz, nie Krzyżatka, Cieplice czy Karpacz — lecz Krynica, Żegiestów lub Szczawnica.

Wystarczy jednak wyjść za miasto by złudzenia zgasły pod silnym powiewem następującej zewsząd kultury.

Idę oto przez szereg wsi i wciąż zdaje mi się, że to pomyłka, że wciąż jeszcze nie opuściłem miasta. Murowane piętrowe domy, otoczone wieńcami sadów i grzędami kwieciami — są takie same jak i na Alei Obrońców. Ciszej tu tylko, więcej przestrzeni i nieba.

Skroś pól, niby armia postępu, stoją szeregi słupów podtrzymujących potężnymi ramionami gęstą sieć przewodów wysokiego napięcia. Ich to treścią huczą maszyny licznych fabryk i rozpalają się co noc miliony świateł po miastach i wsiach, drząc w głębinach mroku jak gwiazdy. One to parobkują niezłomnie u gazdy — osadnika, ciągnąc mu młocarnię i żarna, rznąc drzewo i sieczkę.

Idę po błyszczącej smudze asfaltu. Obok drogi stoi na samotnym grobie krzyż z niemieckim hełmem na szczycie. U jego stóp

placze stara Frau Müller, a nad nią zawodzi jesień wichrem i deszczem. W taki czas gdzieś tam między Bobową a Sączem wlecie się samotne auto poprzez pas udreki zwany dzięki pomyłce drogą, ostrzeliwując przechodniów seriami błotnistych pocisków. Wreszcie grzęźnie, a obecni ludzie wycierając encyklopedię przekleństw oglądają połamane resory i łażą za kołami by wyciągnąć „samochód“ z bagnistej kąpieli.

Tu przewala się obok setki aut i jakoś nic. Nikt nie wyczynia karkołomnych skoków przez rów by uciec przed zafasowaniem porcji błota, nikt nie życzy szoferowi dostąpienia wielkich tragedii i klęsk i nikt nie przypomina świni wypłoszonej z gnojówki. Zanurzam się w którąś tam już z kolei wieś. Jej wille byłyby nielada ozdoba Limanowej czy N. Targu. Z gór stacza się lawina mroku zasypując zwolna dolinę. Wtedy gładnemu światłu przybiega na pomoc człowiek, rozpalając miliony elektrycznych lśniń — jakby słońce pokruszył i w każdy dom rzucił jego małą cząstkę. W rozżarzonych wnętrzach domostw, ponad stołami pięknie nakrytymi, pochylają się kobiety o dobrych roześmianych twarzach, podając utrudzonym mężom strawę.

Tu i tam dzwonią echemi świata radia. W kręgu dźwięków siedzą ludzie zasłuchani, cisi i spokojni. Tu rozbudzone człowieczeństwo dosięgło granicy praw ludzkich i człowiek stał się Człowiekiem.

Mijam dom po domu. Z okien biją łuny świateł i śmiechu. Jak złodziej podglądam czyjeś szczęście tak strasznie mało skomplikowane, a tak wielkie. Oto młode małżeństwo, dwie dzieci czyściutkich i rumianych zajada coś z dymiącej miski, a oni dorodni i syści, przytuleni do siebie i roześmiani słuchają ciekącej z głośnika melodii.

Jest mi w tej chwili niewypowiedzianie źle, smutno i ciężko. Myślę o tych tam z Obidzy i Barnowca, o setkach beskidzkich wsi, gdzie w norach śmierdzących, ciasnych i ciemnych gnoją się żywoty ludzkie w siłdach nędzy i poturacki.

Pocieszam się wreszcie wspaniałą prawdą, że nie ma już między Nysą a Dunajcem żelaznej kurtyny granic, że luna świateł tu gorzejących rozszerzać się będzie wciąż, i wciąż wyrwać będzie z mrocznego kręgu niedoli bratnie osiedla na beskidzkim Podhalu, że kiedyś przecież, oby najrychlej, od Zgorzelca po Przemyśl, od Szczecina po Suwałki odziczą się ziemie Polski, jej ludzie i sprawy w bogatą sukmanę pokoju, dobra i szczęścia.

* * *

Oto wreszcie coś tak bardzo bliskiego Podhalu — obrazek jakby żywcem przeniesiony znad brzegów Popradu. Od drogi, między willami, ciągnie się pas uprawnej ziemi biegnąc aż na zbocze podskubanej góry. Wózek zaprzęgnięty w jedną krowę wozu chłop na ten kawałek ziemi narwał. Pod górę popycha ciężar troje ludzi — zupełnie tak samo jak właśnie w Ryttrze lub Piwnicznej. Dymiące kupki gnoju rozmiatają wyondulowana pannica śpiewając „Złociste Chryzantemy“. A za chwilę przyjeżdża sąsiad potężnym wołem złuzować zmęczoną krowę i zaorać ugnojony spłachęć.

Tak tu sobie wszyscy wzajemnie pomagają, nazywając to najniezawodniejszą Słomopomocą Chłopską. I może dlatego na całym Śląskim Podhalu w Nysie, Kładzku, Wałbrzychu, Jeleniu i Kamieniu Górze nie ma już ani skrawka ugoru.

Zaorana, rodząca chleb ziemia, tętni życiem, kopalnie, dymiące fabryki, bogate sklepy i ruch, ruch jak w Katowicach i Krakowie — oto najmocniejsza odpowiedź Dolnego Śląska pp. Bevinom, Byrnesom i Churchillom.

Na całym niemal obszarze Dolnego Śląska występuje osobliwe zjawisko, które z pozorów sądząc możnaby nazwać przeludnieniem. Ma ono charakter sztuczny i przejściowy, a powstało, jeśli o miasta idzie, wskutek masowego najazdu elementu pasywnego, niezwiązanego ze Śląskiem — czym jak tylko chęcią łatwego zysku, wyznawców religii „lipy“, kantu i szabru.

Przeladowane pociągi wywalają codziennie na większych stacjach Śląska tysiące

tych nowożytnych Hunnów, którzy okupują miasta i osiedla zachodu, żyjąc dostatnio z „kombinatorstwa“ i handlu, uchylając się od obowiązków pracy tam gdzie jej najbardziej potrzeba.

Ulicami miast, jak w Klondike, przewalają się tłumy zaafierowanych poszukiwaczy forsy, na dworcach nie ma miejsca by spocząć, wsiadanie do pociągów przypomina zdobywanie Monte Cassino — a fabryki i warsztaty, kopalnie i biura dalej wołają o ludzi.

Inaczej jest na wsiach. Tu nadwyżki ludnościowe sięgają w tysiące rodzin na powiat, a rozładowanie ich nie jest już rzeczą łatwą ani prostą. Gospodarki indywidualne zajęte są na całym Zachodzie w 100 proc. a repatrianci ze wschodu i zachodu Europy napływają wciąż i wciąż.

Problem ten nie jest jednak bez wyjścia. Lwią bowiem część tej nadwyżki wchłoną Spółdzielnie Parcelacyjno - Osadnicze, które zagospodarować muszą setki tysięcy ha ziemi folwarcznej i dworskiej na całym obszarze Zachodu, leżącej do dziś najczęściej odłogiem. Reszta odejść musi do przemysłu, komunikacji, rzemiosła itp.

* * *

Stolicą śląskiego Podhala jest Jelenia Góra, zwana tu Perłą Gór Olbrzymich. Nazwa miasta które ma w herbie biegnącego jelenia z trójlistną koniczyną w pysku, wiąże się według podania, z ogromną ilością jeleni, które ongiś żyć miały w olbrzymich puszczech rosnących w miejscu dzisiejszego miasta, w jego szerokiej dolinie i okolicy całej.

Dzieje miasta sięgają w zamierzchnią przeszłość, w pogańskie początki państwowości polskiej, gdyż już w IX wieku za panowania Mieczysława I Jelenia Góra była dużą osadą. Polski był jej początek i polskim popozostała ona miastem przez długie wieki panowanie Piastów i Jagiellonów. Dopiero w XV wieku, dzięki różnym intrygom przeszła Jelenia Góra z częścią Dolnego Śląska pod władzę austriackich książąt Habsburgów, z których Ferdynand I zapoczątkował długi okres niewoli tych uroczych ziem, zakończony w roku ubiegłym wielkim zwycięstwem armii radziecko - polskiej.

Włóczęg się po cmentarzach tutejszych, przeglądając stare kroniki parafialne, spotkać tu można na każdym kroku mocne ślady polskości tych ziem, polskości która przetrwała wieki prześladowań i nie dała się wyrwać wrażliwym germańskim dłoniom.

Warto jest wniknąć w historię tych ziem*) Niby wspaniały, fascynujący film przesuwają się fakty i zdarzenia obrazujące poszczególne fazy rozwoju miasta, jak żywe wyrażają postacie polskich władców tej ziemi, ich prawa i przywileje nadawane miastu w trosce o jego rozwój.

I gdy się z nad takiej lektury podniesie głowę, innym już okiem patrzy człowiek na dookólne ziemie i lasy, na wieś i miasta, inny narasta stosunek do spraw tej ziemi, inaczej — goręcej i mocniej uderza serce na dźwięk słów: Odra czy Nysa.

W zakochanym sercu wyrasta potężny płomień wiary w Polskę nad Odrą. Bo ziemie te są naprawdę nasze!

Były, są i będą!!!

Dzisiaj Jelenia Góra miasto i powiat bez przesady stanowią perłę nie tylko Gór Olbrzymich ale całego Dolnego Śląska. Całe okolice miasta to jedno potężne sanatorium, jeden olbrzymi kompleks terenów wypoczynkowych, wspaniały rezerwat zdro-

*) Sykuliski Józef — Prace o Jeleniej Górze i okolicy.

wia, gdzie mieszkańcy Zagłębia — górnicy, hutnicy i robotnicy leczą zgryzione dymem i kurzem płuca.

Do głośniejszych i znanych w skali Europejskiej uzdrowisk należą: Szklarska Poręba, Karpacz, Cieplice, oraz zakłady leczenia gruźlicy w Krzyżatce, gdzie ordynuje sława europejska dr Hornik, a w luksusowych warunkach zdobywa zdrowie około dwa tysiące gruźlików.

Nad szczytami w pasie Jeleniogórskim króluje dumna Śnieżka (1605 m) oblegana zimą i latem przez rzesze turystów i wycieczkowiczów.

Nietknięte wojną miasto szumi bujnym życiem na wszystkich jego odcinkach. Fabryki papieru i maszyn papierniczych, dywanów smyrnejskich, celulozy, szkła optycznego, części do samolotów, tkalnie, zakłady drzewne, ceramiczne, gorzelnie i dziesiątki, dziesiątki innych idą pełną parą, grunтуюc podstawy nowej rzeczywistości. W licznych szkołach, gimnazjach, liceach i kursach zawodowych narasta młodzież Śląska mądrością i wiedzą fachową tak bardzo tu potrzebną w skomplikowanym świecie maszyn i motorów, gazu i elektryczności.

Głód ducha i potrzeby rozrywkowo kulturalne 40-tysięcznego miasta zaspokajają kina, dolnośląski woj. teatr, teatr miejski, częste występy gości z Katowic, Warszawy i Wrocławia, miejska orkiestra symfoniczna, odczyty Klubu Literackiego itp.

Nadmienić trzeba, że do rozbudzenia i rozbudowy życia kulturalnego w mieście i powiecie przyczyniła się niemało OM TUR, działająca tu, spośród wszystkich organizacji młodzieżowych, najaktywniej.

I tak to dzięki zespolowemu wysiłkom inteligenta, robotnika i chłopca w rozwoju i odbudowie Ziemi Odzyskanych, Śląsk Dolny zajął lokatę pierwszą. A na bliskie dwulecie narodzin Polski na tych ziemiach będzie on już mógł urządzić potężny pokaz swego olbrzymiego dorobku i niezłomnie polskiej postawy.

* * *

Gdy schodzę z gór ku stacji — odjeżdżając do Szczecina — jest noc. Dolinę miasta zalała mgła kryjąc chybottliwe kwiaty świateł. Poprzez jej wilgotny gąszcz przedziera się ziszczono tętno miasta: zegary wydzwanają miary czasu, krzyczą ostrzegawczo klaksofony, huczą motory, a długi zew lokomotywy nawołuje w daleki świat.

Przystaję na zboczach, nad pasem mgieł, chłonąc przedziwne piękno nocy. W dali za doliną miasta, na wysokości połoninie, goręją na czarnym tle mroku i lasów drzące światła Karpacza i Bierutowic. Wyżej ośnieżone wierzchołki gór bieleją upiornie w bladej poświacie księżycy niby alabastrowe kolumny podtrzymujące ciemno błękitny dach świata, nabijany, jak góralski pas, złotymi ćwiekami gwiazd.

Od wciąż jeszcze zanurzonych w mgłę domów u skraju miasta dolatuje piskliwa wrzawa bawiących się w dziecińcu niemieczech Hansów i Hild. Na tarasie najbliższego domu dzwiczący głos nuci cichutko melodię: Deutschland, Deutschland über alles... Stukot podkutych butów gasi śpiew, ale mocny męski baryton kończy go wyraźnie skandując: heute noch nicht, aber morgen sicher...

Bezwiednie prawie wyrwa mi się przekleństwo i odpowiedź tutejszym stylem: Jeszcze długo nie, a potem też nie!

Zaś jutro, pojutrze, i het do końca roku bieżącego dokonywać się będzie ostateczne wysiedlanie Niemców, dokąd ostatni überalles nie opuści tej ziemi na zawsze. Na zawsze!

Od Administracji

Administracja tyg. „Wieś“ przypomina wszystkim Prenumeratorem o konieczności odnowienia prenumeraty na rok 1947. Prenumeratę należy wpłacać przekazem pocztowym na konto

P.K.O. - ŁÓDZ VII - 1080

Blankiety należy wypełniać **czytelnie** — z podaniem miejscowości i poczty.

Piotr Stanisław Ziarnik

MOZAIKA LITERACKA

Tadeusz Breza „Mury Jerycha” — powieść — Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik” — 1946 r.

Nagrodzona w lipcu br. nagrodą „Odrodzenia” za najwybitniejszy tom prozy polskiej, wydany po 1 września 1939 r. książka Brezy, wywołała w opinii czytelników i krytyków krańcowo różne osądy, które zresztą dość szybko rozpięły się, przycichły — zgasły. Początkowo żywe pasje uwielbienia z jednej i potępienia z drugiej strony, świadczące o tym, że „Mury Jerycha” są zjawiskiem ciekawym w literaturze, w miarę ochładzania, zakończono u obydwu stron milczeniem, nie mogły — siłą rzeczy, dać syntetycznego i rzeczowego osądu o tej powieści (tak nazwał „Mury Jerycha” — autor).

Dlatego, jeżeli w tej chwili chce się mówić o tej książce, przeżywa się lęk przed sugestią sądów dwu krańców, które wzięte pod uwagę mogą stanowić pomoc, ale kryją również duże niebezpieczeństwo. W tym stanie rzeczy najlepiej będzie szukać własnych dróg, słuchać własnych odczuć, uzasadniać własne wrażenia. Co prawda, jest to wyrażenie zgody, że to, co się pisze, jest tylko przyczynkiem tym niemniej gwoli uczciwości tak tylko można sprawę postawić.

ŁUDZIE I EPOKA

Zacznijmy od spraw najprostszych. Uderzającym w „Murach Jerycha” jest nagromadzenie postaci, pasja analizy, wspólna wszystkim postaciom skłonność do rozprawiania, rozmyślania i definiowania. Można śmiało powiedzieć, że postaci są w powieści prawie wyłącznie terenem spraw, wokół których krąży myśl autora i które stanowią temat dzieła. Inaczej mówiąc akt sądenia, myślenie konkretnej postaci to zasadnicza forma, w jakiej wypowiada się autor. Ta metoda psychologizowania, nakładanie na każdy wyraz i obraz sita psychologicznego stwarza postacią zjawiska szczegółowe. Postaci są bowiem użyte jako forma wyrażania argumentów tematu, więc jako metoda konkretyzacji tego tematu, wreszcie jako reprezentacja epoki po śmierci Józefa Piłsudskiego. Dla charakterystyki epoki — bardzo skomplikowanej w istocie — przez postaci, czy ich sądy, koniecznym byłoby zgromadzenie przedstawicieli wielu środowisk, wszystkich właściwie środowisk Polski przedwzrostkowej. To jest w powieści niewykonalne i o to nie pokusił się Breza. Jego postaci rekrutują się ze sfery elity urzędniczej i kulturalnej, ze sfery finansowych, literackich, arystokratycznych, politycznych. Jednym słowem z t. zw. góry społecznej, gdzie wszystkie sprawy mogą być analizowane z intelektualistycznym smakiem i pewnego rodzaju eklektyzmem. W tym środowisku wszystkie sprawy otrzymują patynę teatralizmu i werbalizmu, która jest również uderzającą cechą „Murów Jerycha”.

Bogata galeria postaci (jest ich około 40) należy przede wszystkim do środowiska warszawskiego. „Akcja” bowiem powieści rozgrywa się w Warszawie (z wyjątkiem dwu rozdziałów, które autor umiejscowił w powiatu i w Wołczyńcu), jakkolwiek Warszawa ma wyraz tylko w atmosferze utworu, realnie nie prezentując się. W ogóle: rysowanej epoce za to służy salonik Krystyny Medekszanki, gabinet Papary, dom Dykiertów i salony Sztemberów — nie opisywane, a tylko wyliczone, bo czyż dyskusji potrzeba umiejscowienia w konkretnie malowanej przestrzeni. Termin akcja użyłem w cudzysłowie, bo trudno o niej mówić w powieści Brezy. Z tego, co powiedziałem poprzednio widać, że autorowi chodziło wyłącznie i jedynie o zanalizowanie ludzi i epoki. Analiza ta jest wyłącznie intelektualna, konkretyzowana nie przez sytuację a przez postaci myślące i mówiące. W ciągach tych argumentowanych wywodów przewijają się, odzywają, pozornie nawet zawiązują wątki powieściowe, które jednak nie rozwijają się później. Uschną. Wątków tych jest całe mnóstwo, ale żaden z nich nie jest najważniejszy. Bo nie o konkretyzującą sytuację społeczno-polityczną-kulturalną chodzi w „Murach Jerycha”, lecz o rozszalenie tematu.

Zobaczmy jak konkretnie te wątki zachowują się w powieści. Dla przykładu weźmy pierwszy: cichy pogrzeb w Wołczyńcu, repatriowanych do Polski zwłok króla Stanisława Augusta. Sprawę pogrzebu autor bardzo skrupulatnie przygotowuje całym pierwszym rozdziałem, w którym poznajemy Jelskiego — zaufanego premiera i Kozica — oficera z Dwójki. Przed aktem złożenia zwłok następują dalsze przygotowania. Znowu postaci i dyskusja na tematy sztuki, władzy, pogrzebu, tradycji itp.

Panującym zda się motywem jest niecodzienna sytuacja: złożenie zwłok króla w nocy — cichaczem w grobach rodziny Czartoryskich, w asyście ciekawych ludzi. (Jelski, Czerski — wojewoda poleski, Sać ojciec — chłop ze wsi, „siedzącej na przywileju”, nadany przez króla Stanisława Poniatowskiego, Medeksza, który oskarża króla o zły wpływ na sztukę polską...). To wszystko stwarza kondensację sytuacyjną, każe domyślać się jakiejś celnej paraboli historycznej, która rozwinięta jest w wątek powieści. Tymczasem autor zarzuca ten wątek, wyprowadza „elitę” z kręgu grobów do salonu — na herbatkę i karty i tam zadzierzga nowy wątek. Sać — spełniający z ramienia Papary — woda młodych polskich narodowców — rolę szpiega przy pułkowniku Czerskim,

odkrywa się Jelskiemu. Rozdział zostaje zamknięty a czytający spodziewa się, że przyszłe rozwiążą te dwa zadzierzgnięte wątki. Wątek Sać — Czerski — Smółczanka rozwiązuje się, wprawdzie tylko jedną sceną w cukierni, tylko krótkim, lapidarnym zamknięciem, a pierwszy w ogóle nie wypływa później.

Na podstawie tych uwag można stwierdzić teraz po raz drugi, że powieść nie ma wątków kierujących i nie ma akcji. Ma — jak powiedziałem już poprzednio — temat. Jest nim sprawa władzy w Polsce.

Temat na studium polityczno-społeczne. Rozpoczyna go Breza od pierwszych kartek, sprowadzając do rozważań o ludziach tego czasu. Postaci zaś rozdziela na trzy grupy: tych — którzy rządzą, tych — których horduje się do rządów i wreszcie tych, którzy szukają się do skoku po władzę — grupę Papary. Lewica nie występuje na scenę ani razu, jest zawsze za ekranem; mówi się o niej, dyskutuje, ale nie personifikuje, jak inne odcienie ideologiczne.

Temat rozpoczyna Jelski — urzędnik do brzo zaczynający, który czeka na resort. Postać ta jest dla autora wygodna, bo Jelski zdaje sobie sprawę, jakie jest położenie wzajemne tych grup w Polsce, potrafi skłasyfikować siebie, zna wreszcie wszystkie ruchy. Pogrzeb Stanisława Augusta Poniatowskiego wyzwała poglądy na historię i odstawia inne argumenty, rozszerzające perspektywę tematu władzy w Polsce, w której nad prochami repatriowanego króla „użalił się tylko chłop i pies”.

Sprawa pogrzebu odstawia tajemnicę stosunku tematu do zdarzeń i wątków. Otóż zdarzenia i wątki, które zajmują kartki powieści, stanowią tylko albo pretekst dla dyskusji nad tematem, albo ułatwiają wywołanie sądu o nim u osób wprowadzonych. Wątek jest duży, a faktów in statu nascendi b. mało. Można wyliczyć: podróz koleją Jelskiego i Kozica, pogrzeb króla Poniatowskiego, wizyta Jelskiego u Medekszanki, przyjęcie u Sztemberów, 2 zebrań grupy Papary, wizyta Jelskiego u Dykiertów, kaperowanie Frysza i rozmowa Smółczanki z Saciem.

Jak z tego wyliczenia widać, obraz czasu nie został pokazany wprost. Powiedziałem, że jest filtr psychologiczny dla wszystkich spraw. W czasie dalszych rozważań objawiły się inne, bo tamten obowiązuje tylko w odniesieniu do postaci. Czas pokazany jest przez okulary wielu psychik. Dla skrótu powiedźmy: obraz czasu jest humanistyczny w tym znaczeniu, że powstał z problemów, którymi żyją postaci powieści i wyraża się przez monolog i dialog tych postaci. One stanowią jedyną metodę realizacji o czasie.

Stanisław Lempicki, wreczając Brezie nagrodę Odrodzenia powiedział: — „Dokonał (Breza) niesłychanie wnikliwej analizy tej epoki i... głębia, wnikliwość, rozległość horyzontów, dalekością perspektywy polityczno-społecznych, moralnych i kulturalno-oluczających”.

To zdanie dołączone do uwag powyższych pozwala w konsekwencji powiedzieć: Analiza epoki jako produkt analizy postaci jest realizowana w monologu i dialogu, zapelniającą całą książkę Brezy.

POWIEŚĆ PSYCHOLOGICZNA

Zostawiając sprawę meritorycznej oceny adekwatności tego obrazu epoki z rzeczywistością, jako zbyt daleko odbiegającą od literatury, należy teraz zająć się poruszonymi na wstępie zagadnieniami psychologicznymi.

Konsekwencja przyjęcia osób czynnych intelektualnie, myślących o problemach, znajdujących się w polu logicznym tematu, musiało zaprowadzić Brezę do techniki psychologicznej. Przyzwyczajaliśmy się nazywać powieścią psychologiczną taką powieść w której autor uzasadnia każdy czyn postaci typem jej reakcji psychicznych i lubuje się w analizie psychologicznej swych postaci. Breza w tym sensie nie psychologizuje. Bo ten typ psychologizowania w powieści wymaga zestawień: faktów pozapsychicznych, osób, i związków między sprawami i osobami, oddanych w relacji autora.

„Mury Jerycha” nie operują tymi dwoma wymiarami. Rzeczy, sprawy i stany odbywają się tylko na jednej płaszczyźnie.

Materia, z której autor tworzy swoje koncepcje, postaci, zdarzenia wreszcie, są sądy postaci. Tylko te sądy i opinie dają obraz rzeczywistości, bo tę rzeczywistość rozważają i odbijają. Autor całkowicie ukrył się w postaciach, i dopiero począwszy od rozdziału, opisującego przyjęcie u Sztemberów ułatwia sobie relację własną poruszanie się wśród postaci, które są czytelnikowi zbyt dobrze już wtedy znane, aby każdy ich ruch — mógł autor rozpoczynać od głowy. Ale wtedy relacje te tak stąpiła z czyjąś refleksją, że trudno je ograniczyć. To zjawisko daje prawo stwierdzić, że psychologizm odgrywa u Brezy rolę metody kompozycyjnej, jak również, że stanowi metodę wprowadzania — przedstawiania postaci powieściowych i wątków powieści. Łatwo zacytować przykłady stosowania tej metody: Choćby wprowadzenie Sacia, dyskusja grupy Papary w salonie Krystyny Medekszanki, wprowadzenie wątku Czerskiego.

Ponieważ monolog: (refleksja rozpamiętywanie i dialog) odgrywają taką rolę, są one przesycone logiką. Psychologizm intelektualizowany — to chyba najtrafniejsze określenie dla metody pisarskiej Brezy.

SPRAWA PERSPEKTYW

Ponieważ zarówno powieść psychologiczna, jak problemowa są w tej chwili trudno czytelne, „Mury Jerycha” stanowią również lekturę ciężkostrawną. Trzeba niemałego wysiłku, aby przebrnąć przez gąszcz postaci, problemów i sądów, nie zagubić się w nich, jak również przejrzeć, kogo i co w klimie Breza potępia, a kogo i co ceni — gdzie jest sympatia autora, gdzie nienawiść?

Temat powieści w miarę czytania nabiera masę argumentów, rośnie, rozprzestrzenia się, obejmuje liczne osoby i środowiska ówczesnej Warszawy (ministrowie, urzędnicy, bogaci przemysłowcy, konspiratorzy z prawicy, poeci, artyści...), ogarnia szereg problemów (misja Sacia, przygotowanie bluffu z Paparą i pogromu w Otwocku, lasów na Bramurze, stosunek ministrów do urzędników, przeznaczonych na stanowiska i odwrotnie, walka z komunistami, wartość tradycji; itd., itd.), ale tylko po to, aby rozwinąć się w przestrzeń. Nie w głąb, bo o tym można mówić zestawiając obraz Brezy z rzeczywistością, która mogła być taką jak u Brezy, mogła być inną — zależnie od punktów patrzenia i środowisk. Na podstawie „Murów Jerycha” można tylko stwierdzić, że ten obraz jest bogaty i niebanalny. Bogaty, bo skąpany w atmosferze politycznej (większość z osób pracuje w polityce), moralnej, kulturalnej i społecznej; niebanalny bo przepuszczony przez filtr psychiczny postaci bardzo nieprzeciętnych, pozwalających autorowi na snucie dialogu uczonego, wyrafinowanego nawet i dowcipnego, który dostępnym jest również ludziom bardzo czytelnym.

Obraz ten szeroko rozbudowany, o liśnnych z pasją cytelerą wyszlifowanych fragmentach nie może być objęty jednym rzutem oka, nie może być rozsegregowany, centralnie oświetlony. Wszelkie wyszukiwanie wątków, postaci, metod, sprawa w „Murach Jerycha” niezwykłą trudność. I wszelkie stwierdzenie. Dysertacja intelektualna między osobami, grupami społecznymi nie pozwala na proste zdefiniowanie roli tych grup w powieści. Jest zbyt wielowymiarowa i uciążliwa i od wszystkich stron równie ważna w powieści. Np. Czerski jest nie tylko mordercą, ale i bohaterem. Sać nie tylko szpiegiem, ale i sędzią sprawiedliwym. Jelski nie tylko typem urzędnika, ale wnikliwym i poprawnie myślącym człowiekiem. Ale żeby tylko tyle. A cała gama prześladowanych zachowań się, choćby tylko tych, których wylizyłem! I kontakt z innymi — dysertacja w momentach przejść.

Człowiek — każdy człowiek może być raz szelma, drugi raz świętym. Tym twierdzeniem można bronić Brezę, jeżeli dla czytelnika postać z „Murów Jerycha” jest kopią osoby, znaną z przed 1939 r. O ile wiem, Breza nie miał zamiaru korzystać z tej znajomości czytelników, bo pocóż było wtedy dawać nazwiska: Czerski, Zawiszanka, Papara; skoro można było użyć nazwiska z legitymacji, aby było prościej. Gdyby Breza postawił sobie temat wyłącznie moralny to wielowymiarowość postaci byłaby b. ciekawa, ale nie o to przecież autorowi chodzi. W dodatku żadna z postaci nie rozwija się w powieści, wprawdzie — zonglują tylko argumentami, reagują na argumenty innych itd., ale jak to zwykle bywa nie zmieniają po tym swych sądów — prezentują się więc tylko.

Skąd więc ta wielowymiarowość? Po prostu z braku perspektywy. Postaci, dane w powieści powstały jako kopie osób i Breza kopiował zbyt skrupulatnie. To samo dotyczy wszystkich spraw. Kiedy po przeczytaniu spojrzeć na obraz zanalizowanej epoki ma się wrażenie, jak gdybyśmy oglądali mozaikę równie wyrazistą na początku, jak na końcu.

Ktoś określając różnicę między sztuką Zachodu i Wschodu, twierdził, że sztuka Zachodu jest kompozycyjna, t. zn. elementy utworów tej sztuki kierowane są ku wyrażeniu jakiegoś elementu w sposób najbardziej dobitny, a sztuka Wschodu nie troszczy się o ułożenie elementu w całość, ale tylko o ten element, wykonuje go najdokładniej bez deformacji w imię celu, jaki odgrywa w całości.

Breza w tym względzie daje utwór w duchu Wschodu. Utwór zupełnie niekompozy-

cyjny, złożony z wielu epizodów, mających ze sobą dużo wspólnego, ale kreślonych przede wszystkim dla nich samych. I dlatego tak trudno mówić o „Murach Jerycha”. Znacznym ułatwieniem byłoby rozbić je na epizody, ale wtedy trzeba by zmienić autora, który może wylegitymować się w następnych tomach, (już zapowiedzianych) z tej najwyższej cnoty artysty.

ZDANIA I AFORYZMY

Sprawa niekompozycyjności wiąże się ze stylistyką, jaką autor stosuje przez cały ciąg utworu. Cechą zasadniczą stylu jest krótkie i mało złożone zdanie. Cytuję z fragmentu z poza dialogu: „Krystyna z palającą twarzą stawiła Jelskiemu swoje warunki. Rzeczywiście nie pomyślał nad tym. Jedną chwilę! Nic prostszego niż jakieś nazwisko. Zamilkł. Ogarnął go ten szczególnie rodzaj drażniącego się z nami lenistwa, które chwytają się myśli, ilekroć włożyć na nią trud za prosty...”

Albo w innym miejscu: „I znowu się Jelski namarszczył i nadał — takie były moje początki, a obecnie taka przystań. Bo zamknęły się lata zapachu, lata ciekawości i niepokoju. Lata pierwszych stawek. — Zdał się już na majstrów — powiedział mu raz Dykiert...”

...A Łatkiewicz, bajeczna kariera! Dostał departament mając ledwo po trzydziestce. Ich druh, ich rocznik, kolega z gawęd na folwarku. Ta formacja to niezła rzecz”.

Można cytować całymi stronami. Z monologów, dialogów. Takie proste zdania, rzadko bardziej rozbudowane oddają wielką w zamierzeniu dyskusję, oddają obraz argumentowany. Dobrze, jeżeli układają się w tok prostolinijny. Częściej padają niespodziewanie, nie wiążą się ze sobą, dzielą się sobie (tak jak i słowa w zdaniach), zmuszone „grać” w jednym obrazie, który rozrasta się werbalnie, nabierając słów i zdań. Trudno cytować, bo trzeba by przepisywać stronicę, na co nie pozwala miejsce.

Obok tych do zasadniczych cech stylu należą: skłonność do używania i tworzenia aforyzmów, zdań z metaforą i parabolą, oraz często rażące stosowanie przestawień części zdania. Te stałe cechy stylu jeszcze bardziej utrudniają czytanie, podkreślają epizody i części epizodów, a co najważniejsze utrudniają orientację w dłuższym wywodzie. Koncepcje intelektualne trudno pogodzić bowiem z jednościami aforyzmu, czy zmysłowością metafor lub paraboli, bo metafora znacznie wyprzedza rozumowanie, albo skraca, nie pasując do wywodu. Gdy o tym mowa warto przypomnieć jeszcze jedną niepokojącą sprawę. U Brezy każdy problem poruszony przedawnie się rozrasta. Ma się wrażenie, że Breza chce go jak najpełniej rozwinąć, wyczerpać do reszty możliwości analizy lub określeń. To prowadzi autora do „pasji werbalnej”, w jaką często popadał w swych powieściach St. Brzozowski. Sądzę, że spośród pisarzy polskich ten jest Brezie najbliższy.

Aby zamknąć ten przyczynek o książce Brezy trzeba jeszcze zaakcentować różnicę we wrażeniach tego samego czytelnika przy czytaniu rozdziałów wyrwanych na „chylitrafi”, oraz przy czytaniu książki od początku do końca. Nie można zaprzeczyć, że takie rozdziały, jak pogrzeb w Wołczyńcu i przyjęcie Sztemberów wywierają silne wrażenie. Napisałem — jak zresztą i całość — oryginalną metodą, jedynym — a przecież intelektualnym celem służącym — językiem, dobrze skomponowane (szczególnie rozdział, opisujący przyjęcie u Sztemberów, gdzie znaleźć można dalekie echa „Wesela” — Wyspiańskiego i „Ozimy” Berenta), reprezentujące wysoki poziom intelektualny autora, rozległość perspektyw i spraw skójarzonych — dają w czytaniu dużą przyjemność i satysfakcję intelektualną. Inne rozdziały, jak o naradzie z Paparą, lub o spotkaniu Sacia ze Smółczanką urzekają dyscypliną opisu i dramatycznym napięciem.

Ale rozpatrywane w całości — nie jako obrazy — nowele samodzielne, robią wrażenie rozwleczonej mozaiki, w której elementy mają jeden cel: ujawnić się jak najintensywniej.

Czytający nie jest w stanie ustawić się w takim punkcie, aby widzieć całość i nie czuje całości. Gorzej: nie widzi koryta, którym płynie potok obrazów, ram, w których obraz wzrasta.



JUZ UKAZAŁ SIĘ NAKLADEM
„CHŁOPSKIEJ DROGI”
PORADNIK ROLNIKA
KALENDARZ NA ROK
1 9 4 7

Wielki format. Ponad 300 stron bogato ilustrowanych. Zawiera wiele ciekawych i praktycznych wiadomości i porad niezbędnych dla każdego rolnika.

CENA ZŁOTYCH 100,—

Do nabycia we wszystkich księgarniach i kioskach oraz punktach sprzedaży i księgarniach „Książki”.

Zamówienia pocztowe z wpłatą należności należy kierować na konto PKO I-1733 na adres: Spółdzielnia Wydaw. „Książka” Warszawa, Aleja 3-Maja 36.



Włodzimierz Wnuk

POWIEDZONKA GÓRALSKIE

Gwara podhalańska jest niewyczerpaną skarbnicą bogactwa językowego — prawda to znana każdemu. Witkiewicz, Tetmajer, Orkan, żeby się ograniczyć do najważniejszych, czerpali z niej obficie i wiele z tych bogactw przekazali kulturze ogólnonarodowej, przyswajając językowi polskiemu mnóstwo przepięknych wyrażen podhalańskich. I choć, zdawałoby się, w tej dziedzinie „nic co góralskie nie jest nam obce“, to jednak ciągle na nowo możemy poznać krasę gwary podhalańskiej i ciągle na nowo z niej czerpać.

Wpadły mi ostatnio w ręce notatki p. Bronisławy Kondratowiczowej z Zakopanego, wielkiej miłośniczki Podhala i górali, ostatniej chyba żyjącej postaci spośród tych, które odkryły Polsce region podhalański i ściągnęły ku niemu „ceprów“ z dolin. Bronisława Kondratowiczowa, 92-letnia staruszka, żyje sobie samotnie — otoczona tylko dwiema starszymi góralkami w swojej cudownej „Chałupie pod wykrotem“ na Szymoszkowej. Myśli jej i uczucia przylgły na zawsze do tej niezapomnianej ery Podhala, kiedy to współcześni jej Witkiewicz, Dembowsky, Matlakowski i inni kształtowali z entuzjazmem styl zakopiański i odkrywali urok regionu podhalańskiego. Pani Kondratowiczowa (o której przyjdzie osobno napisać) spisywała przez długie lata rozmaite góralskie „powiedzonki“. Leży oto przede mną skromny, poźółkły zeszytek, a na nim drżąca ręką staruszki skreślony napis: „Notatki z góralszczyzny — zbierane od r. 1894“.

Otwórzmy zeszytek i zagłębimy do środka. Pod nagłówkiem „powiedzonki“ znajdziemy cały szereg góralskich przysłów, lapidarnych wyrażonek, sentencji, powiedzonek — przy niektórych zaznaczone jest imię i nazwisko tego, od kogo p. Kondratowiczowa „powiedzonko“ zasłyszała. Warto będzie, wydać mi się, odsłonić kartki tych notatek, bo niejednego one zainteresują. Oto ich treść:

Co mi to za pole, kiedy nie zorane?
Co mi to za życie, kiedy zmarnowane?
(Bartuś Obrochta)

Pańskie spanie, dziadowskie śniadanie.

Ryktuj życie na sto років, a codziennie się śmierci spodziewaj (Walek Brzeża)

Z wami to tak, jak z tym miłym ptokiem,
cobyś go miał pod pazuchom (Bartuś).

Niegdzie się świat ukolyse... (nie pilno co budować).

Ku wieczorowi gasnem...

Dyc się mi powała nie doi... (o dużych opłatach podatkowych Teresia).

Izba z takich ino toporzysk
(Walek Brzeża).

Hej niemas to niemas jako chłopu
na wsi,
utnie psu kęs ogóna, kapustę omaści!
(Sabała).

Krompac nie będzie stukoł o wodzie...
(przy kopaniu twardym głodny robotnik)
(Helcia Brzeża)

„Tako prochnica“... (Teresia Brzeżowa o babie).

Feldtebel sukoł Wojtusiowego ojca,
a Siecka pedo: „ziubnij ze go dziesiątkom“,
to póte ta nijakiego ojca nie trza mu beło.
(Teresia Brzeżowa)

„Zawdy, kie krowy ku stawom wyżonom,
to leje“. (Teresia Brzeżowa)

„Kie moc majek na smrekach to będzie
moc gziów“ (Teresia Brzeżowa)

„Jeden drugiemu chleb podaje“ (geometra
adwokatowi) (Gadeja)

Kie mało okiści beło w zimie na smerkach,
to będzie suche lato.

(o babie) „Niek ino uwidzi, ze jom
choć kielo telo rod widzis, to wnetby
zadem prała“ (Gadeja)

Kucharka, co wstanie to ligo, wse jom
na bok piere (leniwa)
(Helcia Brzeżowa)

— „E, tyz siemienie mo, co nie wyzygo“

„Mo ino droge bez wieś“...
(Teresia Brzeżowa)

„Idź do plebona, niek ci odda 5 pa-
pierzów — dyj z babom nie siedzis“
(Staś Wójciak)

Kie w Zielone Święta poleje, to z mie-
dze wyzyjes, a zé stajonka przedos
(spod Sącza) (Staś Wójciak)

„takie ino wrzcionko“ (chudy, mały
człowiek) „to ino taki ohlast beł“
(Teresia Brzeżowa)

„Herbata jak z Wisły, ale beła“
(Helcia Brzeżowa)

Nie zyzoj do psa, to cie nie uzre
(Córús)

„Zuzelnica“ — (o babie gorącej)
(Zuzelnica — to skrzynia do wywożenia
na zużla z wielkiego pieca hutniczego)
(Teresia Brzeżowa)

„Ino „bele co“ wlezie do izby i siedzi...
(o pannie źle wychowanej)

Wto od strachu umiera, temu butami
zwonią.

„Niedorowite towarzystwo“ (niedobra-
ne)

Kwalita się przedemnom, siedemnaście
spódnic mom
Ona mimo ino duze, potargane obidwie!
(Helcia Brzeżowa)

„Tak wartko spoboźniał, jakbyś go
patyke zacion...“

Na św. Jan kosi się pierwszy raz trawę
kosą i rozrzuca się ją po szopach, coby
myszy nie jadły siana

Pan... ta niek wychłódnie... (o prędkim)
„Ze coz tak, prosem Pani, spać nie mo-
żecie“ — (wita rano niemiłego gościa).

„Spódnica w takie okropne żółte psy!“
(Teresia Brzeżowa)

Bodaj ze ten nie zył, bodaj nie
wiekowoł,
Co pirsy kochanie na świecie fundowoł!

Hej, bieda, kie sie obiera wrzód,
a cebuli niema.

Ciemno nocko beła, kie my na zbój
posli,
Nie doł Pan Bóg szczęścia... nic my nie
przyniesli!
(Gadeja, niby żartem)

„Nozyce takie“ (chude kurczę)

Nie leż w plewy, to cie świnię nie
zjedzom.

Wykrzesoł go po persku.

Diabli pytali takom robote.
(Teresia Brzeżowa)

Oto gwara podhalańska na gorącym uczynku schwytana. Nie ma tu żadnych nadzwyczajności, żadnych rewelacji, a jednak ileż piękna zawiera się w prostych słowach górali: „ku wieczorowi gasnem“ lub „niegdzie się świat ukolyse“... I proszę mi odpowiedzieć: czy te same zdania wypowiedziane w języku literackim brzmiałyby równie pięknie?

A kiedy znowu słuchamy, jak Walek Brzeża mówi: „Ryktuj życie na sto років, a codziennie się śmierci spodziewaj“, czyż nie odzywa się tu żyłka filozofa, tak wielu góralom właściwa? Czy nie przypomina nam się stary Sabała i jego sentencje: „W Pana Boga wierz, ale Panu Bogu nie wierz“, „Ociec Stary, pierw, niżli świat stworzył, wiedział, jako na nim będzie“, „Jakiegoś mnie, Panie Boże, stworzył, takiego mnie mas“.

A czyż z zapisanych przez p. Kondratowiczową powiedzonek nie bucha wprost ta kapitalna u górali zdolność dosadnego, obrazowego określenia, o co chodzi? „Prochnica“ mówi nam więcej o uczuciowej, wybuchowej kobiecie, aniżeli cała litania innych określeń. „Zuzelnica“ na babę gorącą, „takie ino wrzcionko“ na mizernego, małego człeczynę mówi również więcej, niż cokolwiek innego.

A wreszcie, powiedzmy sobie otwarcie, niektóre praktyczne rady życiowe potrafi góral lepiej sformułować i wyrazić, aniżeli niejeden pisarz zawodowy. Niechże zatem wszyscy Czytelnicy (łącznie z Redaktorem „Wsi“) zapamiętają sobie, co stary góral Gadeja, mówi o babach: „Niek ino uwidzi, ze jom choć kielo telo rod widzis, to wnetby zadem prała“... Taka jest gwara podhalańska.

I nic dziwnego, że Stanisław Nędza Kubiniec w wierszu „Do mojej gwary“ pisze:

I takóś:

ostro — jak stół zbójnickiego noza,
piękno — jak zorza w świtów błysku,
cudno — jak ozwito w turniak róża,
słodko — jak dziewce przy watrzisku.
Hej, moja!...

KSIĄŻKI NADESLANE DO REDAKCJI

WYDAWNICTWA INSTYTUTU WYDAWNICZEGO — WARSZAWA 1946.

Dr Marian Zachert — Jaglica (wydanie 3 pośmiertne) str. 20;
Dr Maria Bogusławska — Magdusine oczy, wyd. III, str. 30;
Dr Ludwik Rostkowski — Jak Wojtek swoją rodzinę od jaglicy ratował, wyd. IV, str. 31;
Prof. Dr Władysław Szejnach — Myśli przewodnie o organizacji opieki nad dziećmi w Polsce, Warszawa 1945, str. 32;
Prof. Dr Władysław Szejnach — Rady dla matek, Warszawa 1945, wydanie VI rozszerzone, str. 60;
Dr Irena Sztachelska — Służba zdrowia na wsi, Warszawa 1945, str. 14,
Dr med. Henryk Mierzecki — Dla twego zdrowia, wydanie III przejrzone i rozszerzone, str. 142.
Dr M. Zachert — Jaglica, str. 14.

WYDAWNICTWA „KSIĄŻKI“

Jan Kochanowski — Odprawa posłów greckich, str. 48.
Juliusz Słowacki — Lilla Weneda, str. 175
Józef Morton — Inkluzowe wiano, str. 328
Kenneth Grahame — O czym szumią wierzby, str. 247
Zygmunt Młynarski — Z dzieł demokracji polskiej, str. 110.
Zofia Żurakowska — Roman i dziewiętnastu, str. 116
Seweryn Pollak — Godzina życia, str. 64
I. F. Polak — Budowa wszechświata, str. 72
Trzyletni plan odbudowy gospodarki Polski str. 64.
Kalendarz uczniowski „Książki“, str. 320

WYDAWNICTWA „CZYTELNIKA“

Stanisław Pięta — Front nad Wisłą, str. 182.
Wojciech Żukrowski — Z kraju milczenia str. 279
Wanda Dobaczewska — Kobiety z Ravensbrück, str. 169
Antoni Olcha — Nowa Naprawa, str. 165
Władysław Rymkiewicz — Rafał z lasu, str. 197
Janina Broniewska — Szlakiem I Armii, str. 173

WYDAWNICTWA E. KUTHANA,
WARSZAWA:

Wanda Borudzka — Na łące pomalowanej słońcem, ilustr. T. Gronowski.
Jan Brzechwa — Ptasie plotki, ilustr. Eryk Lipiński.
Nie każda myszka swój ogonek chwali, str. 14.

WYDAWNICTWA INNE

Pierwszy rok działalności Ministerstwa Zdrowia. Wydawnictwo Ministerstwa Zdrowia, 1946, str. XII + 197.
Stefan Żeromski — Wiatr od morza — Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 258.
Dr Aleksy Deruga — Aktualność Żeromskiego — Państwowy Instytut Wydawniczy — str. 46.
Dr Emil Godlewski — Pogadanka o pokarmach roślinnych i sztucznych nawozach. — Nakład Kaspra Wojnara — Poznań 1946 — str. 119.

W OSTATNIM 50 — 51 (78 — 79) NUMERZE „WSI“

z dnia 22 — 29 grudnia 1946 r.:

Koledzy chłopskie: W tym rajskim sadeczku, Hej, hej, lelija; Adam Sikora — Pójdźcie chrześcijańskie narody; Stanisław Kolaś — Jezusiczku mały; Jan Aleksander Król — Ludowe dziś może być to, co narodowe; Stanisław Pięta — Opowieści Adama Kuneja; Edward Marzec — Rozmowa z matką; Tadeusz Papier — Za książką; Na marginesie konkursu „Jakiej powieści chce dziś szersza wieś?“. Lista uczestników konkursu; Adam Szczerbowski — Stanisław Ciesielczuk (1906—1945); Zygmunt Kałużyński — „Cud mniemany czyli Krakowiacy i Górale“; Józef Andrzej Frasiak — Nowe wiersze; Piotr Greniuk — Kiepska „wiejskość“; Jan Bolesław Ozóg — Na porwanie żony do miasta; Stanisław Skoneczny — Matka; Stefan Lichański — Między awangardą a tradycjonalizmem; Leonard Sobierajski — Wskazania; Lista autorów, którzy zamieścili swe prace w roku 1946 w tyg. „Wiesć“; 11 ilustracji, stron 16.

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król.
Komitet redakcyjny: Kałużyński Zygmunt, Morton Józef, Ozga-Michalski Józef, Pięta Stanisław.

Komitet terenowy: Frasiak Józef Andrzej, Nędza-Kubiniec Stanisław.

Adres redakcji i administracji: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98.

Redakcja rękopisów nie zwraca.
Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje administracja tyg. „Wiesć“, Łódź, Piotrkowska 96. I p., telefon 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik“ — Łódź ul. Żwirki 2. D—011268

BIBLIOTEKA ODDZIAŁU WIEJSKIEGO

ZWIĄZKU ZAW. LITERATÓW POLSKICH
ŁÓDŹ, A N D R Z E J A 1 2

1. Paweł Kubisz „PRZEDNÓWEK“ poezje, drugie wydanie (92 stron druku) — cena 120 zł.
2. Józef Andrzej Frasiak „URODZONY W ŻDŹBLE“ poezje (160 stron druku) — cena 180 zł.
3. Stanisław Pięta „DOM RODZINNY“ poezje wybrane (144 stron druku) — cena 230 zł.
4. Edward Marzec „WNUCZEK ORZE“ debiut poetycki (40 stron druku) — cena 80 zł.